CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 31 Grudnia 1937 R. NR. 51-52

Zbigniew Domaniewski

Kryzys Ligi Narodów i Polska

Liga jako gwarant bezpieczeństwa państw okazała się bezsilna. Jednak pochopne było by twierdzenie, że Liga Narodów już nie żyje. Nie mają racji ci, co pod wpływem obecnego kryzysu Instytucji obrony pokoju budują taki czy inny nagrobek dla wielkiego dzieła Wilsona. Z drugiej strony błądzą taksamo i ludzie, którzy rozmyślają nad rewizją statutu Ligi, celem jej wzmocnienia. Kryzys Ligi nie jest tylko natury strukturalnej — zagadnienie to ma podkład głębszy.

Istytucja obrony pokoju powstała po długotrwałej wojnie. Narody były zmęczone walką, miały już dość nieprzerwanego łańcucha coraz to większych barbarzyństw. Wszyscy w Europie pragnęli pokoju i pragnęli, z niemniejszą siłą i szczerością, aby wojna w przyszłości się nie powtórzyła. Nienawidzono wojny w roku 1919 tak, jak pięć lat przedtym w obu przeciwnych obozach wojennych nienawidzono się nawzajem! Jak w roku 1914 każdy gotów był z entuzjazmem schwycić za broń, tak w roku 1919 każdy obywatel państw walczących — a tyle ich było! — głośno proklamował pacyfizm i z furią chciał bronić pokoju, tak upragnionego po latach wojny. To był grunt, na który padło ziarno i na którym wyrosło drzewo — Liga Narodów, zobowiązująca członków do czuwania nad powszechnym pokojem.

Wiele szlachetnych zobowiązań było powziętych w chwilach uniesienia. Potem te zobowiązania narzucały się siłą swego istnienia, mając sojusznika w godności osobistej, która narodom, jak jednostkom, nie pozwala cofać się od rzeczy pięknych już raz dokonanych. Przecież to, czym się w naszym postępowaniu chlubimy, jest zazwyczaj zbiorem punktów kulminacyjnych, a nie normą całego życia. Jeśli więc niektóre narody ligowe wykazały z okazji konfliktu abisyńskiego, że do obrony pokoju nie mają zapału, nawet chęci, jeśli teraz znów w s z y s t k i e narody postępują w stosunku do Ligi jak człowiek co wpadł w pułapkę i chce się z niej wyrwać — to nie należy się temu dziwić. Minęły już egzaltowane nastroje roku 1919.

Należy również uwzględnić, że Liga miała już od urodzenia pewne zasadnicze braki organiczne. Instrumentem obrony pokoju miała być groźba wojny, skierowana przez ogół członków pod adresem państwa przygotowującego napaść. Ale s k u t e c z n i e grozić wojną może tylko ktoś, kto ogólnym swym postępowaniem przekonywa, że będzie wojować bez wahania. Otóż narody, które w roku 1919 przystąpiły do Ligi, uczyniły to nie tylko z tęsknoty za powszechnym pokojem i z gotowości jego obrony, ile ze wstrętu do ewentualnej nowej wojny. Nie omylimy się twierdząc, że nienawidziły one znacznie silniej owej ewentualnej nowej wojny u własnych granic, niż kochały pokój innych państw, choć rozumiały w pełni jego decydujące znaczenie dla spokoju własnych granic. Tu właśnie leży istota zagadnienia: narody myślały o powszechnym pokoju dlatego, że czując swą psychiczną niezdolność do walki szukały i n s t y n k t o w n i e i b e z k r y t y c z n i e w p o w s z e c h n y m p o k o j u środka w ł a s n e j obrony przed wojną. W ten sposób powstał oczywisty nonsens: zbrojna obrona pokoju przez państwa uciekające od wojny! Nonsens tłomaczący się błędnym założeniem, że ewentualny napastnik u w i e r z y w g o t o w o ś ć w o j o w a n i a grożących mu członków Ligi, że uda się nastraszyć potencjalnego napastnika demonstracją dział, z których nie ma się odwagi strzelać. Miały na to w głębi duszy nadzieję wszystkie mocarstwa przystępując w roku 1919 do Ligi. Nie poddano wówczas analizie krytycznej jeszcze i tej okoliczności. Mianowicie, że nie można liczyć, aby jakiś naród rzucił się w ogień wojny dla obrony innego narodu, jeśli j u ż u p r z e d n i o nie będzie posiadał wojennego ducha. Lecz jakim sposobem mógłby się utrzymać taki duch przy pacyfizmie, obowiązującym rytualnie członków Ligi? I tu dochodzimy do drugiej organicznej wady Ligi. Tworząc ją nie pomyślano, że ideały pacyfistyczne rozładują w narodach ligowych z biegiem lat owe niezbędne dla przeprowadzenia sankcyj instynkty wojenne, jeśli nawet istniały one jeszcze w roku 1919 po czterech latach krwawych i wyczerpujących bojów. Przeoczono, że Liga, jako gwarantka powszechnego pokoju rozporządzająca sankcjami militarnymi, narzucając światu pacyfizm stanie się związkiem narodów, w których sama zabije psychiczną zdolność do spełnienia w dniu potrzeby zobowiązań sankcyjnych.

Jak długo po wielkiej wojnie duchowość narodów była nastawiona pacyfistycznie we w s z y s t k i c h większych państwach, tak długo Liga trwała w śnie o swej domniemanej zbiorowej mocy. Z chwilą zaś, gdy militarno - sankcyjnym gwarantom pokoju — gwarantom militar-

nym lecz nienawidzącym wojny — przeciwstawiło się pierwsze państwo, w którym naród ginie od kul z rozkoszą, potem drugie — czar mocy Ligi prysł. Państwa te nie przestraszyły się dział, którymi się grozi, lecz z których nie chce się strzelać. Bezpieczeństwo ligowe ujrzało wizję bankructwa. Jednak nie wilsonowski ideał, nie system powszechnej obrony ofiary napaści zawiódł nadzieje ufnej ludzkości. Zawiódł je tylko duch niektórych przodujących narodów zrzeszonych w Lidze. Nie okazało się bynajmniej, że powszechna obrona pokoju w sensie ligowym jest utopią, tylko się okazało, że pokoju nie jest w stanie zagwarantować ortodoksyjny pacyfizm, nie będący w istocie niczym innym jak słabością ducha. Kryzys Ligi polega na tym, że odeszli od niej militarnie oraz duchowo silni: zdobywcy, a pozostali głównie ci, co są wprawdzie silni materialnie, ale słabi duchowo: mocarstwa „nienawidzące" wojny.

Tak pojęty kryzys Ligi Narodów stawia Polskę przed dwoma problemami. Jeden: polityczno - międzynarodowy, polega na zdefinjowaniu jej stosunku do powstałego podziału mocarstw świata na zdeterminowane, zdobywcze, agresywne, oraz mocarstwa „nienawidzące wojny", zachowawcze i chwiejne w polityce zagranicznej. Drugi problem powstaje, gdy istotę kryzysu Ligi zastosujemy jako kryterium do naszych stosunków sąsiedzkich. Powstaje wtedy pytanie, czy zdoła się obronić przed brutalnym napastnikiem, tresowanym z myślą o napaści, naród wychowany w ideałach Ligi, wstrząsający się z oburzeniem na myśl o wojnie, naród widzący w wojnie tylko zbrodnię?

Pierwszy z tych problemów nie wyczerpuje się w stwierdzeniu, że Polska przeciwna jest podziałowi państw na bloki ideologiczne. Nie o ideologie tu chodzi tylko o zdolność czy niezdolność państw do dania swej polityce zagranicznej realnych zbrojnych akcentów, co jest związane nie tylko z ideologią, lecz i ze szkołą duchową narodów. Jeszcze zanim powstał „faszintern" zarysował się był podział państw świata na zdobywcze, ofensywne, oraz zachowawcze, defensywne. Dawno już było wiadome, że Japonia, Włochy i Niemcy nie pozostaną w swych granicach państwowych i w ramach polityczno - mocarstwowych zakreślonych w Wersalu. Po wyprawie japońskiej do Mandżurii mogły już wszystkim otworzyć się oczy na to, co oznaczają tendencje hitlerowców i faszystów włoskich: bliską wojnę zdobywczą. Można było już wówczas stworzyć sobie kryterium podziału państw, na gotowe do ofensywy i wyczekujące w defensywie.

Kryterium takim mógł się np. posługiwać Laval, kiedy w styczniu 1935 dochodził do zasadniczego porozumienia z Mussolinim. Polityka Lavala wychodziła z założenia ofensywnej obrony Francji przed odwetowym duchem Niemiec. Lavalowi nie chodziło o zabezpieczenie się przed uderzeniem Niemiec, gotowych do odwetu, tylko o zgniecenie ich przygotowań do nowej walnej rozprawy o panowanie w Europie. Stąd zwrot Lavala do Włoch, które miały ducha ofensywnego i nadto trzymały dywizje swe w pogotowiu na Brennerze. Nie mamy oczywiście zamiaru nawoływać do naśladowania polityki Lavala. Z drugiej jednak strony chodzi tu o odwieczne kanony polityczne, ostatnio zaciemnione przez doktryny ligowe. Już Chrobry wyznawał „taktykę obrony czynnej przez podejmowanie w odpowiednich okolicznościach akcji zaczepnej"*). Jeśli więc kto myśli realnie o skutecznej obronie państwa, to musi szukać sojuszników o nastawieniu dynamicznym, a nie statycznym. Nie sojuszników myślących o pomocy dopiero gdy wróg przekroczy granice, tylko sojuszników gotowych w każdej chwili wziąść za łeb możliwego napastnika.

Uczynimy jednak pewne zastrzeżenia. Tylko w wyjątkowym wypadku można się łączyć więzami sojuszniczymi z państwem skłaniającym się w danym momencie do napaści. Szukając sojusznika nie czującego „wstrętu do wojny" nie należy oczywiście dać się wciągnąć do jakiejś wojny, w danym momencie leżącej w interesie tego państwa. To zastrzeżenie zyskuje specjalną wymowę w chwili obecnej, wobec faktu, że dzisiejszy blok państw nie obawiających się wojny ma wyraźne skłonności napastnicze. Od bloku tego Polska powinna trzymać się zdala. To jednak nie przesadza na przyszłość stosunku jej do poszczególnych państw dzisiejszego bloku faszinternowskiego. Jeśli tylko — czego można się zresztą spodziewać — nastąpią w przyszłości fluktuacje Niemiec, Włoch i Japonii w kierunku nowych ugrupowań politycznych to Polska, poddając wówczas analizie krytycznej nową sytuację międzynarodową, będzie musiała traktować Włochy i Japonie jako pożądanych ewentualnych sojuszników, m. in. ze względu na ich ofesywne nastawienie duchowe. Oczywiście pozostanie zasadnicza kwestja ich nastawienia politycznego, pozostanie kwestja stosunku ich do innych naszych rzeczywistych czy potencjalnych sojuszników. Niemniej zdobywczo - ofensywny duch Włoch i Japonii powinien być stale czynnikiem pozytywnej oceny ich wartości sojuszniczej. Z punktu widzenia tej wartości podwóinie pomyślna wyda się ewentualność, że Włochy w następstwie spraw dunajskich znów nastawią się ofensywno-obronnie w stosunku do Niemiec, a Japonia pozostanie trwale w takim nastawieniu w stosunku do Rosji sowieckiej.

Przejdźmy z kolei do drugiej strony naszego zagadnienia.

Jak Polska może zbliżać się do państw zdobywczych, widząc w nich potencjonalnych sojuszników, tak walor Polski, jako potencjalnego sojusznika jest w dużym stopniu uzależniony od nastawienia duchowego jej narodu. Otóż pokojowość, pacyfizm, w sensie ligowym przeżywa zmierzch. Państwo gotowe do wojny, państwo gotowe do zaczepki, nie będzie w nadchodzącej przyszłości parszywą owcą w rodzinie narodów śniących o wiecznym pokoju. Można się spodziewać, że prawem reakcji wytworzy się nawet nastawienie odwrotne: miarą prestiżu państwa będzie jego materialna i duchowa zdolność do ataku, zdolność do zadania przeciwnikowi ciosu bez oglądania się na nic i nikogo. Należy żałować humanitaryzmu ligowego. Przy tym jednak trzeba mieć oczy otwarte na rzeczywistość, a nie tylko na piękny ideał. Do rzeczywistości powinna być dostosowana duchowość polska. Powinna ona wyjść poza ciasny krąg instynktów obronnych. Dusza narodu polskiego musi przepoić się instynktami zdobywczymi. Mamy dwóch sąsiadów, których historia jest kroniką napaści, których ideologie i dażenia narodowe dzisiejsze są zaborcze. Przeciwstawić się im będzie mógł tylko naród zdobywczy, sprzymierzony z innymi zdobywcami. Jeżeli sąsiedzi nasi znaleźli ideologie które pozwalają im nawet przy normalnych stosunkach politycznych z innymi państwami pielęgnować w narodzie instynkty w stosunku do tychże państw zdobywcze — to nie możemy pielęgnować nastrojów biegunowo odmiennych, nastrojów tylko defensywnych.

Z kryzysu Ligi Narodów wynikają więc dla Polski dwie główne konsekwencje. Jedna, najważniejsza—rozbrat z rytualnym pacyfizmem. Druga dotyczy naszego stosunku do bloku antyligowego. Blok ten, ze względu na jego akcenty antyfrancuskie, jest dla nas w dużej mierze obozem możliwego przeciwnika. Jest więc on dla nas zjawiskiem niekorzystnym. Dlatego też wysiłki Polski idą stale w kierunku przeciwdziałania pogłębianiu się podziału państw na bloki: ligowy i antyligowy. Z drugiej jednak strony nie możemy pomijać energetycznych wartości, tkwiących w poszczególnych członkach tego bloku. Wreszcie musimy dbać o rozwój duchowych elementów siły u naszych obecnych sojuszników.

*) Słowa prof. H. Mościckiego.

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20.

Tadeusz Katelbach

Wypatrzona mapa

W trzecią rocznicę śmierci Kazimierza Wyszyńskiego

Pewnego październikowego poranka 1927 roku czekałem wraz z Eugeniuszem Zdrojewskim na dworcu anhalckim na pociąg, którym miał przyjechać z Wiednia Kazimierz Wyszyński z żoną. Nie widziałem go dobrych kilka lat. Po raz ostatni bodaj w 1922 roku — na jakimś naszym zebraniu organizacyjnym w Warszawie. Był wtedy już w cywilu. Lecz jakoś zatarło się w pamięci wspomnienie tego zebrania. Za to pamiętałem doskonale Kazika w mundurze beliniackim z czasów gdy urzędował w Belwederze. Wtedy to zbliżyłem się do Niego. Odwiedzałem Go wówczas często w Belwederze przed końcem zajęć. Szliśmy potem na długi spacer. Kazik lubił chodzić godzinami. Szedł ciężkim krokiem, pochylony, czasem małomówny i zamyślony.

Poznałem Go odrazu na dworcu berlińskim po tym charakterystycznym, ciężkim kroku, mimo cywilnego stroju i bródki, której w okresie belwederskiej służby nie nosił. W pierwszej chwili wydał mi się jakby mrukliwszy i bardziej zamyślony, niż przed laty. Mało pytał. Słuchał wszystkiego uważnie. Na śniadaniu spędzonym w dniu przyjazdu do Berlina w gronie kilku kolegów organizacyjnych, bawiących wówczas w nadsprewiańskiej stolicy, nie odzywał się prawie zupełnie.

Po kilku dniach zamieszkał w okolicach Pragerplatzu. Towarzysko raczej nieśmiały aklimatyzował się powoli z zupełnie nowym, nieznanym Mu środowiskiem, w którym miał spędzić zgórą siedem ostatnich lat swego życia. Po kilku miesiącach Wyszyńscy zamieszkali przy Lützowstrasse. W tym mieszkaniu czuł się lepiej. Przywykł już do miasta, poznał ludzi, a choć radcowanie w poselstwie w okresie pierwszych kilku miesięcy nie należało z wielu względów do przyjemności, stawał się coraz bardziej ożywiony. Już nie tylko pytał i słuchał, lecz sam mówił.

W obszernym, lecz ciemnym mieszkaniu przy Lützowstrasse biurko Kazika stało przy oknie. Będąc stałym gościem domu Wyszyńskich znałem każdy sprzęt, każdy szczegół. Pewnego razu zauważyłem na biurku niedużą, białą mapę Polski. Odtąd już nigdy z tego miejsca nie znikała. Kazik stawał często nad nią milczący, zamyślony. Nieraz w czasie najgorętszej debaty na tematy niemieckie czy międzynarodowe odchodził nagle do biurka i wpatrywał się przez długie chwile w białą mapę.

Nie wiem po raz który w życiu uczył się Wyszyński Polski. Znał ją jak chyba rzadko kto w Polsce. Lecz tym razem były to studia żmudne, najdrobiazgowsze. Doszedł też w krótkim czasie do fenomenalnej znajomości Polski współczesnej. Życie każdego powiatu widział, jak na dłoni. Ilość dróg bitych, szos, długość linii komunikacyjnych, rzeki i rzeczki, nazwiska ludzi, stosunki gospodarcze, polityczne, narodowościowe — wszystko to miał stale w pamięci. Gdy kiedyś latem, w nocy, po — jak zwykle — kilkokilometrowym spacerze, zaszedłem jeszcze do Niego, nic nie mówiąc zasiadł nad swą ulubioną mapą, wpatrzył się w nią, jakby wzroku nie mogąc od niej oderwać. Długie milczenie ośmieliłem się przerwać pytaniem: „o czym Kaziu myślisz?" Dopiero po chwili odpowiedział: „opracowuję zagadnienie nowego podziału administracyjnego państwa".

Odtąd przez szereg miesięcy temat ten powracał stale w czasie naszych dyskusji, gdy tylko można się było oderwać od zagadnień bieżących, z których każde niemal było interesujące, palące, dla Polski ważne.

Mijały lata. Wyszyński zaklimatyzował się w Berlinie. Niemcy, tak jak przedtym Sowiety, poznał na wylot. Słuchał zawsze uważnie, lecz już teraz coraz mniej pytał. Sam mówił i myśli swe innym narzucał. Jeszcze za dobrych czasów republikańsko - wejmarskich roztaczał obraz przyszłych ewolucji niemieckich. Mówił o nich jako o rzeczach nieuniknionych i pewnych. Konstrukcje myślowe Wyszyńskiego były nieubłaganie logiczne, matematycznie ścisłe. Dlatego często robiły wrażenie rzeczy oderwanych od rzeczywistości dnia codziennego. Wielu też ludzi nie znających dobrze Wyszyńskiego, zwłaszcza tych, którym wąski horyzont rzeczywistości przesłaniał horyzonty dalsze, nie mogło Go zrozumieć. Był dla nich nierealny. Była chwila — wiosną 1928 roku— gdy i ja zwątpiłem w słuszność jednej z Jego decyzji. Wyczuł to odrazu. Lecz potem, dzięki codziennemu obcowaniu z Wyszyńskim, przekonałem się ostatecznie, że ten Jego rzekomy brak realizmu był tylko łatwym przechodzeniem do porządku dziennego nad akcesoriami, które w przeciętnych umysłach ludzkich urastają często do rozmiarów zagadnień pierwszoplanowych. Z tymi akcesoriami, przesłaniającymi wielki cel, walczył Wyszyński uparcie i bezwzględnie. Pamiętam nie jedną dramatyczną dyskusję w Berlinie, kiedy ludzie, którzy potem, jeszcze za Jego życia, uznali bez zastrzeżeń autorytet Wyszyńskiego, nazywali Go fantastą, buntowali się przeciwko Jego wskazaniom, twierdząc, iż czyni błędy, nie licząc się, ani z wymogami terenu, ani z psychologią ludzi. Był dla nich fantastą, gdy przewidywał rozwój stosunków wewnętrznych w Rzeszy, gdy mówił o nieuniknionej konieczności zmian w niemieckiej polityce zagranicznej, gdy z serdeczną troską mówił o sprawie ludności polskiej w Niemczech, gdy poruszał wiele, wiele tematów nie wyłączając, oczywiście, najbliższych Mu — polskich. Dla niektórych ludzi fantastą pozostał zapewne do końca...

Tymczasem sprawy niemieckie absorbowały nas coraz częściej. Zbliżał się styczeń 1933 roku — przyjście Hitlera do władzy.

Na parę lat przedtem Wyszyńscy przenieśli się do innego mieszkania w charlottenburskiej dzielnicy Berlina. Z ciemnych pokoi przy Lützowstrasse, mieszczących się na pierwszym piętrze, przeprowadzili się do mieszkania słonecznego, na trzecim, czy czwartym. Widywaliśmy się — jak zawsze — codziennie. Życie płynęło wartkim strumieniem. Długie, męczące Kazika coraz bardziej spacery, stawały się jeszcze częstsze. Nie starczało we dnie czasu na pracę. Wyszyński był postacią centralną całej polonii berlińskiej. Nic się bez Niego nie działo. Zdawało się, że ten człowiek, który ponosi wobec Polski wielką odpowiedzialność opiniowania spraw niemieckich, nie może mieć na nic innego czasu.

A tymczasem, mimo nawału bieżących zajęć, pozostał wierny swej ulubionej mapie. Zjawiła się znowu na nowym mieszkaniu, zajmując swe miejsce — na biurku. Postrzępiła się nieco na brzegach, przybrudziła, wyblakła. Wyblakła jakby od tego ciągłego, kazikowego patrzenia na nią. Wypaliły czarne kreski na mapie promienie Jego źrenic, w których była i wola męska, i dobroć dziecka i bezgraniczna miłość dla tych konturów, zawierających w sobie tętniącą życiem i mocą Polskę. Wodził po tych konturach oczyma we dnie i w nocy, a tak już poznał Polskę, że — jak Popławski — w każdej dzielnicy czuł się jak u siebie w domu. Tylko gdy o swym rodzinnym Lublinie mówił widać było, że jest to Jego miasto najdroższe, które po synowsku kocha.

Ostatni raz siedzieliśmy przy tej wypatrzonej Jego oczyma mapie Polski 1 sierpnia 1933 roku. Nazajutrz wieczorem, odprowadzany przez Wyszyńskiego na dworzec, zapatrzony na nową drogę całym bagażem Jego uwag i wskazań politycznych, wyjechałem z Berlina przez Gdańsk, Królewiec — do Kowna.

Od tego czasu przez rok nie widziałem Kazia. Nie pisywałem do Niego, gdyż z Kowna trudno było wogóle pisać, a—co najważniejsze — wiedziałem, że listy moje zostaną bez odpowiedzi. Wyszyński nie lubił pisać.

Spotkaliśmy się dopiero po roku, w czasie II-go Zjazdu Polaków z Zagranicy, w sierp-

niu 1934 roku. Każdą chwilę wolną spędzałem na gawędach z Kaziem. Pojechaliśmy razem do Krakowa — drugiego miasta po Lublinie, które bardzo kochał. 10 sierpnia jadłem wspólnie obiad z Wyszyńskim i E. Kłopotowskim. Rówieśnicy — przyjaciele byli w doskonałych humorach. Kazik dolewał węgrzyna. Wieczorem spotkaliśmy Gustawa Dreszera. Odprowadziliśmy Go wspólnie z Kaziem, a potem już we dwójkę łaziliśmy jeszcze po Krakowie. Był to mój ostatni spacer z Wyszyńskim.

Żegnając się przed hotelem, przypomniałem sobie mapę. Zapytałem, czy leży zawsze na swoim miejscu. Uśmiechnął się łagodnie. Uścisnęliśmy się w milczeniu. Gdy wchodził do drzwi, powiedziałem: „do zobaczenia w Warszawie". Obejrzał się i uśmiechnął się znowu. Wiedział co to znaczy. Tyle razy przecież w czasie ostatnich dwóch lat pobytu w Berlinie słyszał ode mnie prośby i zaklęcia niemal, żeby rzucił Berlin i wracał do kraju. W Niemczech zrobił swoje. W kraju — zdaniem moim — był niezbędny. Wiedziałem doskonale, że po długoletnim pobycie w Moskwie i Berlinie wyrywa się do Polski, że to żarliwe ślęczenie nad mapą było jednym z przejawów tęsknoty do dnia, w którym wróci na stałe do kraju i tam zacznie działać.

4 stycznia 1935 roku po południu pisałem coś w swym mieszkaniu kowieńskim przy ul. Kiejstuta. Nagle zadzwonił telefon. Stacja meldowała Berlin. Czasami dzwonił do mnie z Berlina Smogorzewski. Za chwilę usłyszałem jego głos. Komunikował mi o śmierci Kazia.

Płakałem długo. Gdym wreszcie przyszedł do siebie, stanął mi w oczach, oparty obiema rękami na biurku, pochylony, wpatrzony w mapę Polski.

I takim wciąż Go widzę.

Tadeusz Lechnicki

O rolę wsi w życiu polskim

Przemówienia, wygłoszone na Zjazdach: Osadniczym w dniu 5.XII i Centralnego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych w dniu 8.XII 1937 roku

Przeznaczając poniższe przemówienia do druku w formie artykułowej, pragnę uzupełnić je kilku słowami wyjaśnienia.

Przemówień tych nie traktowałem jako wypowiedzi tylko okolicznościowych. Są one fragmentem w zapoczątkowanej w ubiegłym roku na łamach „Narodu i Państwa" i prowadzonej w następstwie po przez broszurę „O jasny program i zwarte działanie" akcji na rzecz należytego, póki trwa po temu koniunktura, stworzenia warunków dla uaktywnienia tej największej w Polsce skarbnicy sił potencjalnych, jaką jest wieś polska, jaką jest chłop polski, samodzielnie gospodarujący i stwarzający, zarówno w dobrej jak złej koniunkturze, podstawę dla gospodarczej pomyślności i gospodarczego rozwoju Państwa.

Ze stanowiskiem reprezentowanym przeze mnie we wspomnianych artykułach, czy wspomnianej broszurze, nikt nie przeprowadził rzeczowej polemiki, nikt nie wykazał błędności ich założenia. Za polemikę taką nie mogę uznać ani docinkowych zdań o rzekomej nieporównywalności warunków polskich, ani zarzutu, że — pisząc o sprawie wsi polskiej — równocześnie nie poruszam szeregu innych ważnych problemów naszego życia. „Nieporównywalności" nie mogę uznać za dogmat, wystarczający do przesłonięcia wszystkiego, co jest wyjątkowym zupełnie naszym zaniedbaniem. Równocześnie nie przeczę, że obok zagadnienia wsi istnieją inne ważne zagadnienia życia polskiego. Twierdzę jednak — i przy tym się upieram — że żadne z tych innych zagadnień nie jest w równej mierze zaniedbane i niedocenione, jak zagadnienie wsi. I to jest myślą przewodnią zarówno poprzednich moich wypowiedzi publicystycznych, jak obu niżej podanych przemówień. Jeśli ktoś tezom moim przeciwstawi argumenty — gotów będę z najlepszą dobrą wolą do ich rozpatrzenia, do wprowadzenia odpowiednich korektyw w całość moich wniosków. Nie mogę jednak zgodzić się, by w sprawach o zasadniczym znaczeniu właściwą metodą było ułatwianie sobie sytuacji przez ich niedostrzeganie. I dlatego uważam druk obu wygłoszonych przemówień za celowy.

•

Dnia 5.XII.1937.

Dobiegający końca rok ma swoje dni jasne, ma niestety i karty ciemne.

Zacznijmy od jasnych.

Przypomnijmy sobie dzieje lat ostatnich.

Wszystkim, którzy grali i grają na słabość wewnętrzną Rzeczypospolitej, wydawało się, że dniem przełomowym w rozwoju kraju będzie dzień, gdy ubędzie z kraju Ten, który przez ostatnich lat 50 niósł dziejową odpowiedzialność za jego losy.

Mówiono wtedy, że w miesiąc po śmierci Jego, skłóceni następcy niezdolni będą do dalszego wykonywania dziejowego testamentu, pozostawionego przez Zmarłego.

Otóż rzeczywistość szczęśliwa zadała kłam tym przewidywaniom.

Nam, żołnierzom, nie trzeba tłomaczyć, co znaczy pojęcie Wodza.

Szczycimy się tym, że trafnym żołnierskim instynktem wiedzeni, już w majowe dni 1935 r. meldowaliśmy się pod Jego rozkazy.

Dziś raz jeszcze stajemy wobec Niego w karnej, żołnierskiej postawie.

Dlatego Związek nasz w roku 1937 na Jego wezwanie zgłosił współudział w akcji zjednoczenia Narodu.

A jeśli wolno żołnierzowi meldować się u Wodza i zgłaszać swoje prośby, to pragnęlibyśmy jedynie mieć prawo gdzieś raz na rok w drodze bezpośredniego kontaktu spojrzeć Mu w oczy i zameldować nasze troski.

Pragnęlibyśmy nadto w karnej postawie Mu zameldować jak bardzo rozumiemy ciężar odpowiedzialności, którą niesie i że każdą decyzję Jego uważamy dla nas za żołnierski rozkaz.

I tylko jeszcze jedno.

Rozumiemy doskonale, że nie jest naszą rzeczą komu powierzył On kierownictwo i w czyje ręce oddał ster poszczególnych działów życia polskiego.

Czy to będzie człowiek najszlachetniejszy, czy najpracowitszy, najpłomienniejszy, czy najukładniejszy.

Chodzi nam jedynie o prawo lojalnego i otwartego patrzenia dokąd nas te ręce wiodą, oraz bronienia, by nikt nie mógł chronić się od odpowiedzialności za popełnione błędy w fałdach płaszcza dostojeństwa Wodza.

Nie mogąc być więc posądzonym o chęć czczej krytyki, czy jakąś grę polityczną, pragnę stwierdzić, że niestety na horyzoncie życia kraju są ciężkie i poważne chmury.

Chcę z całą otwartością mówić o tragicznych wypadkach lata roku bieżącego w Małopolsce Zachodniej.

Bo, zaiste, tragiczny jest zbieg okoliczności, że człowiek, który psychicznie najgłębiej i najszczerzej czuje wieś polską i jej niedole, jej nadrzędne znaczenie dla kraju, człowiek, który ze szczególną troskliwością szuka bezpośredniego zetknięcia z rzeczywistością wsi polskiej — że Pan Premier Sławoj Składkowski był tym, który musiał w imię najistotniejszych intere-



sów ładu wkroczyć zdecydowanie i — niestety — krwawo, by uspokoić objawy anarchii.

Na czym polega wyraz polityczny niepokojących wypadków małopolskich.

Jesteśmy za starymi żołnierzami, za wiele wielkich rzeczy rozstrzyganych krwią i żelazem przewinęło się w marszu naszym przez życie, byśmy z ckliwością starych dewotek załamywali ręce nad odgłosem każdego strzału na świecie.

Ale niepokoi nas to, że na całym świecie wieś rządna, wieś najbliżej czująca prawdę życia jest ostoją ładu, umiarkowania i gwarantką przeciwstawienia się nerwowemu miastu.

Miasto przez fizyczny fakt olbrzymich skupień, ciągłego przypływu i odpływu, największej nędzy i największego bogactwa, najwyższych cnót i najjaskrawszych szumowin łatwo daje spięcia nawet w najspokojniejszych i najbogatszych krajach.

W ubiegłym roku 1936 i zrównoważona Holandia i pracowita Belgia i tak bardzo doświadczona Francja miały barykady na ulicach miast, co jednak w niczym nie naruszało poczucia bezpieczeństwa i spokoju.

Musimy stwierdzić, że tym bardziej niepokojącym objawem jest to, że spięcia nastąpiły w okolicach, gdzie lud ma najdawniejsze tradycje pracy politycznej i najtrwalsze przywiązania do swoich swobód.

To też rozumiejąc postawę władz, którą musiało cechować zdecydowanie, mówimy, że nad tymi wypadkami, nad ich głębszym źródłem nie wolno nam przejść do porządku dziennego.

Nie miejsce dziś po temu, żeby wdawać się w szczegółowe rozważania tej sprawy, ale jednocześnie musimy mieć ambicję, że jesteśmy czołową ekipą wsi polskiej w najtrudniejszych dzielnicach kraju, że nasze oceny nie są pozbawione istotnej znajomości przedmiotu.

Otóż konstatujemy, że Polska Niepodległa, Polska w 70% rolnicza, popełniła szereg kardynalnych pomyłek i błędów w polityce rozwoju sił gospodarczych, społecznych i politycznych wsi polskiej.

Że z wyraźną oczywistością należy niestety stwierdzić, że nieomal wszystkie kraje rolnicze potrafiły zapewnić przez politykę gospodarczą lepszy rozwój tych sił w trudnych warunkach rzeczywistości powojennej.

Że nie ma wytłumaczenia dlaczego wieś polska tkwi w zastoju wtedy, gdy jednocześnie wieś na całym świecie rozwija się w przyśpieszonym tempie.

W skromnej pracy mojej wydanej p. t. „O jasny program i zwarte działanie" dałem trochę materiału dyskusyjnego. Materiał ten jednak musi być pogłębiony i doprowadzić do praktycznych zmian.

Rolnik w Polsce nie może mieć najdroższych kosztów produkcji i najniższych wydajności z wszystkich rolników Europy poza ZSSR.

Gdyby obrazowo starać się rzecz tę ująć, to obraz wsi polskiej wyglądałby następująco:

Są z jednej strony łany ziemi polskiej, które na całym świecie dawałyby podwójne plony, z drugiej zaś żądne pracy tysiące rąk chłopskich, a po środku stoi niezdecydowana w tej dziedzinie polityka gospodarcza polska, która tych dwóch sił elementarnych — ziemi i człowieka — z sobą sprząc nie potrafi.

Zadanie to jednak musi wykonać nasze pokolenie, a zwłaszcza wieś polska.

Program zdecydowanej aktywizacji sił gospodarczych, społecznych i politycznych wsi polskiej, jako nadrzędny postulat programowy chwili bieżącej, stawiamy nie jako klasowy egoistyczny interes tej czy innej warstwy, lecz jako warunek wstępny istotnego rozwoju sił Państwa.

Bez zamożnej wsi, bez politycznie zdecydowanego ruchu chłopskiego, nie ma ani rozwoju przemysłu w Polsce, ani zdrowego rozkwitu mieszczaństwa polskiego.

Gdyby jeszcze słów parę poświęcić poszukiwaniu odpowiedzi, jak się stać mogło, że interes wsi w Polsce Niepodległej został sprawą zaniedbaną i niedostatecznie uznaną, to stwierdzić musimy, że winy zaniedbań doszukiwać się należy przede wszystkim w politycznym rozbiciu wsi polskiej.

Bo wieś rozbita politycznie — to wieś wyzyskiwana.

I dlatego dziś, kiedy dzięki poprawie koniunktury gospodarczej jaśniej i mniej beznadziejnie stało się na wsi polskiej, kiedy budzą się nowe ambicje i nowe siły przychodzą do głosu, powiadamy:

że jeśli konieczna konsolidacja kraju nastąpić winna w myśl rozkazów Naczelnego Wodza, to musi się rozpocząć od wsi polskiej, od śmiałego sformułowania jej potrzeb, od walki o ich realizację.

*

Dnia 8.XII.1937.

Naczelnym zadaniem przeżywanej chwili stało się w Polsce zagadnienie wzrostu sił moralnych, politycznych, go-

spodarczych i społecznych, celem zapewnienia Narodowi bezpieczeństwa i wolności.

Istotna niezależność gospodarcza jest w tym kompleksie zagadnień problemem niemal nadrzędnym.

Pan Premier Sławoj - Składkowski szuka uparcie dróg dla zapewnienia trwałych warunków rozwoju wsi polskiej.

Pan Wicepremier Kwiatkowski śmiało planuje i wytycza drogi przyśpieszonego uzbrojenia kraju w dziedzinie energetycznej, komunikacyjnej i przemysłowej.

Jakie winno być stanowisko rolników w tej sprawie?

Stanowisko nasze musi cechować jasna ocena sytuacji i wskazywanie wyraźnych dróg poprawy.

Rolnicy nie należą do ludzi, „którzy są objęci psychozą szukania zła".

Jednak, aby przywrócić istotną atmosferę zaufania, należy lojalnie, bez niedomówień, mówić prawdę w oczy.

Jakie są zadania „mobilizacyjne" rolnictwa.

Doświadczenie wielkiej wojny uczy nas:

że oderwanie paru milionów najtęższych rąk od warsztatu produkcji w pierwszych dniach mobilizacji,

że konieczność przeznaczenia całej produkcji nawozów sztucznych na cele bezpośrednie prowadzenia wojny,

że pewna psychoza cenienia więcej towaru od pieniądza w czasie wojny —

— nakazuje bezapelacyjnie zmobilizowanie w okresie przed wojennym przez intensywną gospodarkę rolną wielkich rezerw w formie wysokiej wydajności i kultury ziemi, rezerw tkwiących w glebie, które stopniowo skonsumuje okres wojny.

Czy rolnicy w ostatnich latach należycie spełniają swój obowiązek przez mobilizację tych rezerw w swoich warsztatach, podobnie jak to się dzieje np. w Niemczech, we Włoszech itd.?

Otóż wydaje nam się, że rolnicy tego obowiązku nie spełniają należycie.

Że widmo niedoboru zbożowego, które stanęło przed krajem w roku obecnym, nie jest wynikiem li tylko złych warunków atmosferycznych, tj. suszy, że zawiniła tu również ekstensyfikacja produkcji, która w najintensywniej gospodarowanych dzielnicach spowodowała cofnięcie się plonów z ha, w innych zaś dzielnicach istniejący skromny wzrost wydajności prawie nie podąża za przyrostem ludności.

A zresztą w przewidywaniach nie można z góry wykluczyć, że rok wojny nie będzie rokiem suszy i nieurodzaju.

Ale — poza względami przygotowania obrony — brak w tym roku eksportu bezpremiowego 10 milionów q zboża jest uszczerbkiem poważnym w naszym organizmie gospodarczym.

„Kto zbyt późno powraca z gospodarki ekstensywnej do intensywnej, ten musi ponosić straty w obu okresach i w kryzysie i w okresie koniunktury" *).

*) Z wywiadu udzielonego w 1932 r. przez obecnego Wicepremiera Kwiatkowskiego.

Błędem popełnionym w minionym okresie, błędem który należy usunąć, było utrzymanie kosztów produkcji rolniczej w Polsce na poziomie niemal najwyższym z wszystkich krajów Europy.

To też twierdzimy, że przywrócenie opłacalności intensywnej produkcji rolniczej w Polsce jest nadrzędnym postulatem naszej rzeczywistości gospodarczej.

Wieś w okresie najbliższych lat 10 musi podwoić swoją produkcję, przede wszystkim przez obniżenie kosztów związanych z intensyfikacją produkcji.

Podstawowe cztery postulaty, które wysuwamy w tej sprawie, są następujące: (obok zagadnień organizacji zbytu i cen przemysłowych):

1) Obniżenie wiosną 1938 r. cen nawozów sztucznych do poziomu przeciętnego cennika krajów europejskich,

2) Odbudowanie zaufania wsi do własnego aparatu kredytowego,

3) Zaktywizowanie polityki traktatowej, zapewniającej dodatkowe możliwości zbytu, zwłaszcza na rynku angielskim, niemieckim i amerykańskim,

4) Zwiększenie upraw „pracochłonnych", przede wszystkim buraka cukrowego przez zdecydowaną politykę taniego cukru.

Z czterech tych tematów zatrzymam się dziś tylko na cenniku nawozowym, który powinien ulec radykalnej zniżce jeszcze w grudniu roku bieżącego, o ile ma się nie zmarnować sezonu wiosennego.

Rolnik polski ma dziś najdroższe nawozy sztuczne, przeliczone w złocie z pośród wszystkich rolników całego świata.

W przeliczeniu zaś na ceny artykułów swej produkcji, którymi płaci za nawozy sztuczne, rolnik w Polsce ma nawozy o 100 — 200% droższe od rolników całej centralnej Europy.

Tu leży najistotniejszy powód ekstensyfikacji rolnictwa.

Dla przykładu przytoczę, że wskaźnik zużycia nawozów azotowych w Polsce w porównaniu do r. 1928 spadł w r. 1935 do 24, gdy równocześnie wskaźnik całkowitej konsumcji światowej azotu wzrósł do 112, w Niemczech do 167, w Finlandii do 180.

Zużycie na ha użytków rolnych w Polsce, zwłaszcza centralnej, jest katastrofalnie małe. Wynosi ono dla całej Polski w r. 1935 0.75 kg azotu, dla województw centralnych 0.20, gdy jednocześnie w Holandii stanowi ono 19,32, w Niemczech 25, w Danii 11,54, w Finlandii 2.07.

Takich rozpiętości porównawczych między Polską a zagranicą nie ma w żadnym innym artykule, ani w węglu, ani w żelazie, ani w cukrze, ani w spożyciu energii elektrycznej.

Zamiast 180 milionów kg azotu, które przewidywał nasz program azotowy, zużyliśmy w 1935 r. 16 milionów kg.

Niewłaściwa polityka cen spowodowała zanik zużycia nawozów w Polsce.

Czego domagamy się przede wszystkim:

1) Obniżki cen nawozów sztucznych wiosną 1938 r. do poziomu przeciętnego europejskiego, tj. do cennika niemieckiego. W związku z suszą tegoroczną znaczne połacie kraju będą miały katastrofalny brak obornika wiosną. Muszą je uzupełnić tanimi nawozami sztucznymi. Ponadto są szanse, że pomimo tendencji zniżkowej na świecie, jeszcze jesienią 1938 r. sprzedamy nasze zboża bez premii na rynku światowym.

Wreszcie zastrzegamy z całym naciskiem, że uzasadniona gospodarczo jest tylko obniżka zdecydowana i wyraźna, tj. od 20 do 25%.

2) Żaden rolnik, chcący wiosną nabyć nawozy, nie może być tej możności pozbawiony, jak to było np. jesienią tego roku.

To też zawczasu musi być przewidziany import brakujących ilości nawozów niejako w „obrocie uszlachetniającym".

3) W wielkim planie inwestycyjnym realizowanym obecnie muszą znaleźć się środki na dalszą rozbudowę i modernizację krajowego przemysłu chemicznego.

W tym czasie, gdy polityka gospodarcza kraju szuka słusznie bodźców dla pobudzenia wszelkich procesów inwestycyjnych, udzielając daleko idących milionowych ulg dla budownictwa i przemysłu, rolnictwo uważa nawozy sztuczne za jeden z najwłaściwszych nakładów inwestycyjnych i musi się spodziewać uwzględnienia jego skromnych w tej mierze postulatów.

Bo jak jest w Polsce w latach ostatnich?

Gdy kartele coś przeprowadzić postanawiają, zbierają się cichutko, decydują i przeprowadzają. Handel to samo potrafi. W rezultacie wolno każdym dwum „łapserdakom" zmówić się, że nie sprzedadzą wsi polskiej czegoś taniej, niż zmowa przewiduje, wolno, by w jednym małym miasteczku istniało dwadzieścia parę swoistych zmów handlowych, obejmujących czapki, buty, naftę, gwoździe, cement itd., jak to ujawniły badania ostatnie. W stosunku do wszystkich tego rodzaju przejawów rolnicy są bezbronni i w tej bezbronności są zupełnie wyjątkowi.

Bo gdy urzędnicy samorządowi nie byli zadowoleni z projektowanych ustaw, zagrozili strajkiem i osiągnęli ponowną analizę zagadnienia.

Gdy świat pracy idzie do ataku, to siłą jego jest akt czynu, jakim jest wszelki strajk.

A tylko rolnicy od lat składają memoriały, petycje, rezolucje, wysyłają telegramy, zjeżdżają się na Zjazdy, i powracają do domów najczęściej bez żadnego rezultatu.

Lecz stan ten nie jest normalny. Zwłaszcza jeśli świat chłopski ma się stać w Polsce podstawą istotnej równowagi jej życia, jak jest już dziś w mniejszym czy większym stopniu na całym świecie, z wyjątkiem ZSSR.

A panowie ziemianie, którzy tak pohopnie deklamują o solidarności rolniczej, muszą się zdecydować:

Czy chcą nadal tkwić, jak było przez ostatnie lat 10, w świcie Radziwiłłowskiej, gdzie pierwsze miejsce zawsze zajmowali panowie Paweł Minkowski, Hipolit Gliwic, Jan Hołyński, a więc przedstawiciele największych karteli, zaś rolę ziemian można było określić raczej jako czeladzi książęcej?

— Czy — stojąc na rozdrożu — wybrać zdecydowanie tę drogę, którą ja osobiście wybrałem, tj. być z wsią polską, z całym jej pięknem i z całą jej nędzą?

Tu dróg pośrednich nie ma. Bo Polska może iść ku swej wielkości tylko w oparciu o zorganizowanych, świadomych swej siły, swojej odpowiedzialności i swoich praw chłopów polskich.

Korzystając z obecności na sali Pana Ministra Rolnictwa, naturalnego naszego opiekuna, daję wyraz przekonaniu, że nikt z nas obecnych na tej sali nie wątpi, że postulaty nasze znajdą przychylną ocenę i załatwienie u czynników miarodajnych.

Melchior Wańkowicz

Ognisko siły — C. O. P. 5)

Jak się staje C. O. P.*)

Na razie elektrownia mościcka wysyła prąd do Rożnowa. Ale niedługi już czas, że to z Rożnowa płynąć będzie przez nią potok energii elektrycznej.

Nastąpi to wówczas, kiedy spiętrzy się woda w nowouformowanym jeziorze Rożnowskim. Ponieważ jednak ten wielki zbiornik wody będzie służył sprawom powodziowym i żeglugowym, więc zostanie utworzony mały zbiornik w Czechowie — pomocniczy. Ten zbiornik będzie już służył tylko sprawie elektryfikacji, będzie sobie regularnie puszczał tyle wody na turbiny, ile mu będzie trzeba. Zbiornik już się buduje, będzie uruchomiony równocześnie z wypełnieniem jeziora.

Tu, w Mościcach, już wszystko gotowe na przyjęcie elektrycznego potoku kilowatów.

Wychodzimy z „mózgu elektryczności", przechodzimy w cieniu komina potwora o średnicy u dołu 11 mtr., o wysokości 116 mtr., t. zn. niemal dwie wieże Marjackie jedna na drugiej, o średnicy u góry 3, 6 mtr. Idziemy na serce rozgałęzień wysokiego napięcia. Na słupach 6 tonnowych, wysokich na 19 metrów, idą w świat przewody stalowo aluminiowe. Potworne izolatory wyglądają jak żyrandole. Na drutach, aby nie drgały, uwieszono ciężkie mostki. Już stoi 380 takich słupów, już dopełzły do Wierzbnika pod Starachowicami, już zrobiły pół drogi do Warszawy. Linię rozpoczęto budować wiosną 1936 r., a obecnie za dwa tygodnie nastąpi jej uruchomienie na tym odcinku. Kilometr kosztuje 40.000 zł. Już wydaliśmy 8.400.000. Tylko kilkanaście procent tej sumy zapłaciliśmy zagranicy.

W Sandomierzu widzieliśmy, jak dopełzł do niego rurociąg, tutaj widzimy, jak niebawem prąd elektryczny będzie nam kraj ożywiał jak woda z Nilu pustynię. Tokarz prowincjonalny, kowal, ślusarz, młynarz, folusznik, tkacz, krawiec-chałupnik, proletariat nieszczęsny, gnieżdżący się po śmierdzących małomiasteczkowych rozłogach, nędza z nędz, bieda z bied, pomiatany i najniższy — otrzyma tylu niewolników elektrycznych, ilu zechce, niewolników, którzy zegną karki i będą na niego pracować. Za dwieście złotych, bo tyle kosztuje motorek, wyrośnie w Polsce plemię fabrykantów, Herrenvolk, któremu posługuje daleki Dunajec.

W roku 1940 ta tania energia dopełźnie do Warszawy. Nim to nastąpi — ruszą na tej energii Starachowice, a teraz, już teraz — oto w tę stronę już idzie linia mniejszego napięcia na Rzeszów, ta na Tarnowską Dąbrowę, a stamtąd na Lwów i Katowice.

Do ministra Kwiatkowskiego meldują delegację rzemieślników... z Żyrardowa. Pewno „ze skarbowym pozdrowieniem..." myśli ze zmęczeniem minister i mruga nerwowo niedospanymi oczami. Ale oni przychodzą, żeby w Żyrardowie był tańszy prąd. Siadajcie, mili goście!... To są interesanci! Siadajcie, mili goście... Już się robi... Już wnet, tylko się trzymajcie...

No więc, jeśli tak od tych bekonów poszliśmy w bok — że to nietrudno fabrykę zbudować, ale trudno elementy powiązać, teren w jedno zespolić i że to połączenie elektrycznością, to jest taka cudowna rzecz i że ten gaz (o czym mówiliśmy uprzednio) tak to wszędzie powiąże — to teraz musimy się zmartwić, że nie wszystko jest tak dobrze w onym państwie Duńskim czy Sandomierskim.

Trzema bo rzeczami fabryka żyje, trzema energiami:

Elektrycznością — dobrze...

Gazem — dobrze...

Węglem...

Właśnie. Ten węgiel jest o 250 kilometrów. Trudno — to tylko Święta Kinga tu rzuciła pierścioneczek, tam wyjęła i kopalnia jak piesek przebiegła jej w wianie pod ziemią. Tego nie zrobimy. Ale coś podobnego — możemy. Przez ułatwienie transportu. Wodą—mówiliśmy o tym już. I dalekie to czasy jeszcze i nie wszędzie wodą zajedzie. Więc — drogi... I tu jest źle. A przecież drogi w chwili obecnej, kiedy się okręg buduje — są przede wszystkim potrzebne. Wiceminister Piasecki oblicza, że to potaniłoby inwestycje Okręgu Przemysłowego o 25%.

Bóg zapłać, Panie Ministrze, za piękne obliczenia. Ale czy nie moglibyśmy uzyskać czegoś więcej? Czy w roku bieżącym zainwestowano w Okręgu Centralnym w komunikację choć złotówkę? Bo ja o tym nic nie wiem.

Pamiętam obrazek z Kuby. Powieziono mnie z Hawany na plażę, która poczęła wchodzić w modę. Plaża leży o 28 kilometrów od Hawany. Całe 28 kilometrów jechaliśmy wspaniałą awenidą, szeroką na 60 metrów. Awenida składała się z pasa wspaniale utrzymanych na całej przestrzeni kwietników pośrodku, po ich obu stronach biegła wspaniała, już nie pamiętam z jakiego materiału, jezdnia i dwa tory tramwajowe, a wreszcie szerokie wygodne chodniki. Nad wszystkim rozpinały się łuki wielkich lamp.

Kwiaty pachnęły, lampy wieczorami gorzały, tramwaje chodziły regularnie acz puste — puste, bo naokoło tych wszystkich wspaniałości rósł splątany ciernisty podzwrotnikowy busz — jakieś karłowate mimozy i inne ciernio-krzewy. W busz tylko były wcięte uliczki i na rogach, na których przecinały awenidę, umieszczone były tabliczki z nazwami tych ulic, które nie miały ani jednego domu, ani jednego ogrodzonego placu.

Pan wiceminister Piasecki mówi coś o tym, że rzekomo będziemy inwestowali w komunikacje Okręgu Centralnego przez sześć lat po 60 milionów, ale jakoś to się mówi z zastrzeżeniem.

A przecież od komunikacji chyba należało począć.

Świerk z pod Wilna sprowadzany do fabryki celulozy w Niedomicach w ilości około 40.000 mtr. rocznie, będzie nakładał 112 klm. drogi, bo nie mamy linii kolejowej z Ostrowca przez Kamienną na Szczucin.

Węgiel, właśnie ta trzecia, tradycyjna forma energii, tak potrzebna Zakładom Południowym w Stalowej Woli, będzie nadrabiał jakie sześćdziesiąt kilometrów w stosunku do 200 kilometrów linii prostej.

A jeśli ruda, którąśmy odkryli w okręgu Jasielskim istotnie pocznie dawać surówkę dla pieców Martinowskich w Stalowej Woli, to ta surówka będzie musiała odbywać 207 klm. podróży zamiast 123, do których da się zredukować transport

*) Dokończenie — patrz „N. i P." nr. 44, 45/6, 47/8/49/50.

przez budowę 40 klm. linii Jasło-Dębica.

To są tylko niektóre przykłady. Na bezdrożu nie można budować.

I jeśli pan minister Kwiatkowski mówi o „dopinaniu poszczególnych elementów", to czyby nie można było dopiąć sprawy i na tym odcinku?

Bądźmy współpracownikami wielkości!

Kiedy powracamy do elektrowni, minister Kwiatkowski mówi, jak to tu, przy montowaniu zakładu pracowało sześć tysięcy chłopa, miało jednak pozostawać na stałe 1600. Przychodzili więc prosić, by ich z dobrej woli i bez zapłaty pozostawiać na drugą szychtę. Chcieli się nauczyć, chcieli być robotnikami kwalifikowanymi. Ale zwolna ich ogarniała pasja— żeby widzieć więcej, lepiej. Zasklepiały się turbogeneratory, opancerzały się maszyny — i już nigdy nie mieliby zobaczyć tego cuda, jak się rodzi, niby żywa istota — życie maszyn.

Potem postanowili, że nie będzie między nimi analfabetów. Już dawno minął ten czas, kiedy do dyrektora fabryki przyszedł ostatni z analfabetów, stuknął buciorami i z dumą wręczył własnoręcznie wyślabizowany, wystękany wypisany... utwór o wiośnie.

O Boże — jakżesz ta polska wiosna przemysłowa jest kulawa, jak naiwna, jak tuż tuż z analfabetyzmu pochodząca... i jak urocza.

Kiedyśmy, po raz ostatni, na trzeci dzień wycieczki, zasiedli do wspólnego stołu — cóż było rzec gospodarzowi i jego pomocnikom — młodym, tryskającym energią, nafaszerowanym cyframi, kalkulacjami i nadziejami?

Mussolini, osuszyciel bagien pontyjskich, kolonizator Libii, powiedział, że jedną ze zdobyczy faszyzmu jest wytępienie retoryki.

Cóż mieliśmy powiedzieć wobec oblicza stawań się rzeczy konkretnych? Toasty wznosić?

Nie czuliśmy się jak goście. Czuliśmy się raczej jak ta para staruszków, co zaszła do sklepu Spissa, kiedy go otwarto i zamiatano i poczęła dawać pouczenia. Okazało się — że mieli parę akcji.

Czujemy — ja i wy, czytelnicy, że mamy każdy po parę akcji w tym interesie.

Ale to mało — wiadomo, że akcjonariuszy wykiwują, a my chcemy mieć udział istotny. To też my, którzyśmy tam byli, poczuliśmy się jak robotnicy placowi, którym minister Kwiatkowski urządził bal w opustoszałych składach. Rozglądaliśmy się, gdzieby tu uchwycić jaką cegłę czy rurę i ciągnąć, nieść cegły, mięszać wapno. To uczucie narastającej potrzeby współpracy, zaraz, natychmiast, w jakiejkolwiek bądź formie, było tak powszechne, że wylało się natychmiast po powrocie do redakcyj w szeregu spontanicznych artykułów.

Patrząc na mapę Centralnego Okręgu Przemysłowego, po za obrębem którego jest Warszawa, czuliśmy się jak garść prowincjałów, która bawi w oszałamiającym centrum i którzy muszą już wracać do szarej, do nudnej prowincji.

I rozglądając się po wspaniałościach tego nowego świata, szukaliśmy, jakby go zabrać ze sobą w płuca, jakby obdarować jego tchnieniem najbliższych. I zrozumieliśmy, że jeśli ku stolicy Okręg Centralny wyśle energię elektryczną i energię gazową, to należy założyć jeszcze jeden rurociąg — rurociąg wiary w siebie.

Minister Kwiatkowski z żalem mówił:

— Jeśli mówię z wiarą w naszą pracę, spotykam sceptycyzm, niedowierzanie i niechęć. Raz zrobiłem próbę: w pewnym towarzystwie ogłosiłem, że po zbadaniu przekonałem się, że Polska stoi nie na przedostatnim miejscu w Europie pod względem motoryzacji, a na ostatnim. Skonstatowałem, że w zebranych natychmiast poczęła się sympatia ku mnie: „tak nam gadaj — o to właśnie!"

Młody zarybek inżynierski już nie jest z tej defetystycznej szkoły. Kiedy oprowadzają nas po zakładach i dający objaśnienia mówi, że to i to musimy sprowadzać z zagranicy — nie było wypadku, żeby albo sam, albo jego asystujący koledzy nie dodali z naciskiem: „na razie". To „na razie" jest wprost formułką w Obwodzie Przemysłowym, kanonem narzuconym przez opinię, coś jak niemieckie „Gott strafe England" w czasie wojny.

Wracamy z Obwodu Przemysłowego, ludzie różnej sierści i różnego zawołania, z radosną świadomością, że znaleźliśmy przydział do pracy. Budujemy — armia techników pióra, senatorowie, posłowie, przemysłowcy, którzy tam byli — rurociąg psychiczny do Polski.

Kiedyśmy wracali do Warszawy — poszedłem wzdłuż ośmiu wagonów, z których się składał nasz pociąg specjalny — po wszystkich przedziałach, znienacka otwierając drzwi i słuchając — o czym też ludzie mówią.

Czyż nie wiadomo, o czym zwykle mówią mężczyźni, kiedy są w swoim towarzystwie i spracowali się na potęgę? O czym mówią, kiedy są w kupie?...

Mieliśmy trzy dni bardzo męczące, przecież, mimo propozycji służby kolejowej, proponującej rozstawić stoliki — żaden bridge się nie skleił. Wszędzie mówiono o przeżytych wrażeniach. I, rzecz charakterystyczna, w wielu przedziałach przypominano początki Polski. Ktoś opowiadał, że zdębiał w Budapeszcie, słysząc naszego przedstawiciela, ofiarującego w imieniu Polski Węgrom bezzwłocznie zbrojną pomoc. Inny opowiadał, jak to minister spraw zagranicznych, Leon Wasilewski, siadał sztywny i uroczysty w tużurku do bryczki zaprzężonej w parę koni — był to jedyny wehikuł, jaki posiadało wówczas nasze M. S. Z.

Fala ciepła wpłynęła na ludzi, kiedy tak, po dziecinnemu, cieszyli się Ojczyzną, która im w oczach krzepła, poważniała i rosła.

Wyszedłem w korytarz i oparłem czoło o szybę. Przede mną przesuwały się właśnie w pełnym blasku oświetlonych wszystkich pawilonów zakłady amunicyjne. Myślałem z żalem o tym, że nie ma technika, któryby obliczył, ile kilowatów energii duchowej trzeba włożyć, żeby przerobić naszą chorą stolicę. I, myśląc o rozmowach, które toczyli po przedziałach ludzie, których znam z warszawskich kawiarń i redakcji, z którymi dość się nalitowałem nad okropnym naszym położeniem i dość się nanicowałem spraw i ludzi (a którzy teraz mówili tak inaczej) — postanowiłem sobie zrobić eksperyment dalszy — zanotować, jakie też będą pierwsze głosy w Warszawie tych, którym powiem o swoich wrażeniach.

Wybrałem się do kawiarni zaraz nazajutrz. Zastałem znajome towarzystwo, pochylone do siebie głowami i zwierzające rewelacyjne wiadomości. Kiedy nieco odzipnięto, spytano mnie, począłem mówić, nie krępując się, nie dowcipkując, bez mgiełki Hamletycznej, bez portretu Oskara Wilde, a ludzkim głosem począłem mówić, że mi się podobało.

Po zebraniu powiał cień, jaki bywa, kiedy kto w zgranym i dobrze wychowanym towarzystwie zachowa się nieodpowiednio. Aż wreszcie senior (a każdy stolik kawiarniany ma swego seniora), rzekł, jak seniora jest obowiązkiem: aby i załagodzić gaffę i znowu podnieść poziom:

— Tak to tak — budować to budują — tylko ciekaw jestem, ile znowu ukradną.

— Ple, ple, ple — brekekeks — pochyliły się ku sobie głowy. Nastrój był przywrócony.

Na ulicy, kiedy przyglądałem się wystawie księgarskiej, znagła mię ujął pod rękę przemiły causeur. Bardzo lubiałem jego oryginalne paradoksy.

— Pan patrzy na książki? — zagrzmiał — że też w tej Beocji jeszcze się trzymają, to wie pan, albo należy zawdzięczać wysokim cenom na makulaturę i brakowi jej do owijania śledzi, albo lekturze przymusowej, jaką katują tych nieszczęsnych sztubaków; też swego rodzaju „zawijanie śledzi". A widząc, że jeszcze od tego pierwszego strzału nie olśnąłem jak należy, dodał z cięższej broni: „gratuluję piątego wydania tej książki o tych tam Mazurach, choć wie pan, co powiedział, przeczytawszy ją X ? Ten, wie pan, taki bajecznie kulturalny pan, musi go pan znać, potomek starej rodziny, mieszka w pałacu u siebie na wsi, ma przecudne kolekcje. Otóż on powiada, że nie rozumie idei — bo należało by jak najprędzej wszystko zniemczyć i skończyć z tym całym Pacanowem".

Miły znajomy uprzejmie się uśmiecha. Zostałem wyzwany na ripostę, na jakiś przyjemnie drażniący kalambur, czy cy-

tatę. On by, naturalnie, zajął stanowisko przeciwne, skonstruowalibyśmy tezę i antytezę, on by sypnął dowcipnymi kilku cytatami, ja, biedny, musiałbym się zastawić i postawić i jemu sprostać — tout comme toujours".

Tymczasem zachowałem się skandalicznie. Zrobiło mi się okropnie nudno, a że trzymałem paczki w ręku — ziewnąłem sobie po katolicku i na dwanaście nakryć jak hipopotam. Mój interlokutor usiłował to wziąć jako dowcipną puentę, ale nie doczekawszy się jej i widząc, że mi się zbiera na następne ziewanie — odszedł, zbity z pantałyku.

Trzeci pan, którego tegoż samego dnia spotkałem, wrócił właśnie z zagranicy. Wciągnął mnie do bramy i szeptem wyjaśnił, że właśnie zagranicą miał możność mówić z wiceministrem spraw zagranicznych Egiptu. Ów wiceminister ma pierwszorzędne informacje przez kontakty z wywiadem angielskim, mówi, że wojna jest postanowiona. A co mówi o Polsce!.. Mój interlokutor wybałuszył oczy i czekał, że go spytam, co mówił o Polsce. I znowu — postąpiłem jak chamuś z pod Sandomierza.

Zaręczam czytelnikom, że te trzy rozmowy w pierwszym dniu pobytu w Warszawie miałem, nie licząc pół tuzina rozmów o Ozonie.

Wreszcie przyszedł do mnie bardzo ceniony przeze mnie publicysta, z którym współpracując uważałbym się za podniesionego w hierarchii pisarskiej i, wysłuchawszy moich tyrad o C.O.P., wysunął projekt napisania o tym na spółkę książki.

— Wie pan — mówił — moglibyśmy napisać dwugłos sceptyka i entuzjasty. To byłoby interesujące.

Widzę, że mi minister Kwiatkowski złamał karierę. Zachowałem się jak cham.

— Żadnych — powiadam — smaczków literackich. Iluż z was „chepie" różne sprawy, nie mając o nich wielkiego pojęcia. A jeśli kto się czymś entuzjazmuje — choćby przyjrzawszy się sumiennie — to się gorszycie? Szlag was trafił! Wolę Okręgowi Centralnemu kredytować wiarę, jak wam... sceptycyzm!

ZAKOŃCZENIE

List do kolegów moich dzieci

Nie, nie mogę tej pracy skończyć sarkazmem.

Myślę o tych młodych oczach, które oglądały przywiezione przeze mnie wykresy, o młodych uszach, które chciwie słuchały wieści o nowej Polsce.

Przyszedł do mnie akademik, studiujący prawo i zapytywał, czy postępuje słusznie, czy właściwie nie powinien by teraz, natychmiast, zaraz jechać na teren Okręgu Centralnego, albo teraz, natychmiast zaraz wstąpić na Politechnikę.

Może młodzież w Polsce przejdzie przez kult inżyniera. Ten kult przydałby się narodowi, któremu tak długo nie danym było żyć konkretami.

Dlatego nie mogę skończyć tej pracy, nie myśląc o młodzieży. Kiedy do nich mówiłem, kiedy nawet mówiłem do dziewcząt w gimnazjach, — widziałem jak pełne rumieńców i życia są te wiadomości o ich nowej Ojczyźnie, jak język, którym się o nich mówi, emocjonuje nie mniej, niż opowiadania o Emilii Plater i o Pustowójtównie.

I tu dochodzimy do sedna porozumienia z młodzieżą.

Ta młodzież nieraz zazdrości nam, że żyliśmy w ciekawszej epoce. Że wszystko „już się stało", a im pozostało tylko trawienie, urządzanie się, które im się wydaje równoznaczne z wegetacją.

Pamiętam, że to samo myślałem o życiu ojca, powstańca i zesłańca; a okazało się, że to raczej ojciec mnie mógłby pozazdrościć epoki, w której mi żyć wypadło.

Młodzież powina zrozumieć, że i ich epoka będzie wspanialsza, ciekawsza, barwniejsza, niż nasza.

Jest jedno wielkie zagadnienie dla każdej młodości: poczuć się w rytmie epoki, która idzie, w samym środku nurtu, który płynie.

Iluż ludzi teraz, patrząc wstecz, żałuje, że nie było w ogniu walk o Niepodległość: w Pecie, w Zecie, w Lidze Narodowej, w bojówkach P.P.S., w Związku Walki Czynnej, w „Strzelcu", w legionach, w P.O.W. — mniejsza o to jak się to nazywało. Nie tylko dlatego, że okazało się, że to stworzyło „karierę". Ale i dlatego, że przewalił się obok ich młodości wodospad zdarzeń, a oni leżeli z boku na piaseczku jak puste muszle — dotąd leżą, jak leżeli.

Otóż koło każdego w młodości przechodzi tramwaj właściwy. Chwila wahania — tramwaj pojedzie — nie wsiadłeś — nie wróci.

Niewątpliwie nie wsiądziesz, gdy będziesz zazdrościć przeszłości a nie złapiesz smaku chwili.

Mów: moja młodość jest wspaniała. Nie zmarnuję ani jednej jej chwili.

Ta praca — to znak dla ciebie — to szyld z numerem na tramwaju, który przechodzi przez twoją młodość.

Młody inżynierze, młody techniku, monterze, ekonomisto, kalkulatorze...

Kiedy już zbudujecie tę nową Polskę, o której my, stare dziady, nie będziemy wiedzieli, czy się ją jada nożem, czy widelcem — nie wbijcie się w zarozumiałość, nie zapomnijcie o jednym, co było zdobyczą naszej epoki. Bo wszak cały sens w tym, by budowy nie poczynać od nowa, by stała na przemyśleniach i doświadczeniach poprzedników.

Nie zapominajcie więc — o człowieku.

Trzy rzeczy powinny stanowić o postępie: przyroda, kapitał, praca. Tak nas uczyli i zapewne tak i was uczą.

Kapitału mamy najmniej, rąk do pracy najwięcej. Stąd kult kapitału i pogarda dla pracy i dla jej miernika... czasu.

Patrzcie na nasze biura, w których surowo jest normowane zużycie stalówek, papieru, obliczane skrupulatnie wyjazdy, uciążliwie formalizowane wydatki.

Bo to kapitał, którego nam brak.

Ale zobaczcie, jak w tychże biurach za nic się ma czas ludzki. Marnowany na niepotrzebnych konferencjach, uzgadnianiach, niepunktualnościach, oczekiwaniach, ponownych przerabianiach nie obmyślonych decyzyj.

Bo rąk do pracy — również i urzędników, jest za dużo.

Nie tylko ubóstwo nasze temu winne. To jest również wpływ Wschodu.

Tego lata, na kresach wschodnich byłem z pewnym urzędnikiem we wsi, odległej o 20 klm. od miasteczka. Urzędnik kupił wóz drzewa po cenie miejscowej. Potem zaś kazał drzewo dostarczyć do miasteczka. Chłop to przyjął jako rzecz naturalną, jako bezpłatny dodatek: jego czas z koniem się nie liczy.

Tak, to jest Wschód, poza całym układem ekonomicznym. Wschód, któremu imponował przepych materialnych zasobów i bogactw i który kazał wieszać się ludziom, by dogodzić władzy.

Rzeczy historiozoficzne są wieczne. Kiedy kilka lat temu napatrzyłem się w Rosji kolosów technicznych — kazałem się zaprowadzić do ośrodka zdrowia.

Prowadzili mnie w Moskwie w tryumfie; są naiwni jak dzikusy, pewni, że nic podobnego nie ma w zgniłej Europie.

Zobaczyłem... trzeciorzędną polską „Kasę Chorych", a nawet wątpię czy bym coś takiego znalazł u nas w najmniejszym miasteczku. Doktór miał brudne paznokcie, brudny fartuch i tygodniowy zarost. Po kątach leżały śmiecie. Chorzy czekali w długich ogonkach.

Na korytarzu stał pod szkłem eksponat: jak nie powinno wyglądać mieszkanie robotnicze i jak to samo mieszkanie powinno wyglądać.

— Co Pan, doktorze, zawraca kontrafałdę („oczki wtirajetie?") — krzyknęła baba z ogonka do demonstrującego mi eksponat doktora. — Toż my bysmy na klęczkach dziękowali temu, kto by nam dał to „gorsze" mieszkanie. Toż my po jedenaście dusz śpimy w małej izbie na narach w trzy piętra, a na dzień innych jedenastu te same miejsca zajmuje.

Baba mi otworzyła oczy na szafowanie materiałem ludzkim w kraju, który hołduje kapitałowi i materializmowi.

Widzimy też, że gospodarka sowiecka załamuje się o człowieka.

Widzimy, że wiele uposażonych przez przyrodę krajów nie ma swego miejsca na świecie przez złą gospodarkę człowiekiem; widzimy jak inne kraje, ubogie z natury, stworzyły dobrobyt wolą ludzką.

W Polsce przeszliśmy erę poniewierania człowiekiem, z której nie wyszliśmy jeszcze. Szukajcie samorządów — nie ma ich w Polsce.

Zapewne przejściowo było tak trzeba. Ale gdybyście wy, przejmujący Polskę, poszli tym tropem i drugie pokolenie z rzędu rządziło w atmosferze pomiatania pracą i człowiekiem — to by już wyryło na dziejach narodu rysy niezgładzone.

Zdawałoby się — za wcześnie o tym mówić, kiedy C. O. P. ząbkuje zaledwie. Ale przecież może nam się zdawać, że idzie on wzorami totalnymi. Więc niech nas nie olśnią ognie pieców Martinowskich tak, byśmy nie widzieli nic poza tym.

C. O. P. ma wyzwolić, a nie poniżyć człowieka. Tam wszędzie, gdzie gospodarka jest ekstenzywna — za nic się ceni czas ludzki. C. O. P. ma uintensywnić polską gospodarkę.

Zaprosiłem was do tramwaju przechodzącego koło waszej młodości. Niech wolno będzie myśleć autorowi, że ten i ów usłucha zaproszenia i wsiądzie. I pomyślałem że dla takiego nie dość było wskazać przystanek — ale i uświadomić o punkcie dojazdowym.

Ściskam was, nieznanych i kochanych, serdecznie. Bądźcie zdrowi.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Deklaracja ideowo-wychowawcza Centralnego Związku Młodej Wsi

Dnia 19 grudnia odbył się Zjazd Rady Naczelnej C. Z. M. W., na którym, między innymi, została przyjęta deklaracja ideowo-wychowawcza, normująca wytyczne programowe pracy Związku. Ze względu na znaczenie prac C. Z. M. W. podajemy niżej w pełnym brzmieniu najważniejsze punkty tej deklaracji, obejmujące zasady ogólne, sprawy moralności publicznej, oświaty i kultury oraz odrodzenia gospodarczego:

I. ZASADY OGÓLNE.

1) Ruch młodowiejski jest wyrazem świadomych dążeń młodego pokolenia chłopskiego, zmierzającego wespół z ogółem młodzieży pracującej do odrodzenia całości życia Rzeczypospolitej i walczącego o dokonanie przebudowy społeczno-gospodarczej w państwie na zasadach sprawiedliwości i demokracji.

Centralny Związek Młodej Wsi jest formą organizacyjną tego ruchu. Podstawą jego działania jest niezależność i samodzielność.

Dąży on do przeprowadzenia jedności chłopskiej w Polsce, aby tą drogą zapewnić wsi należne jej miejsce w narodzie i państwie.

Naszym ideałem wychowawczym jest typ pracownika - bojownika, odznaczającego się silnym charakterem, zdolnością do wytrwalej i twórczej pracy, poczuciem godności, bezwzględną uczciwością w życiu publicznym i prywatnym, głębokim poczuciem sprawiedliwości społecznej, oraz patriotyczną gotowością do poświęceń dla dobra ogólnego.

2) Ostoją niepodległości Polski i źródłem Jej dążenia do wielkości są siły moralne obywateli i armii, organicznie z sobą zespolone. Obronne siły i potęga Rzeczypospolitej zależą od pełnego rozwoju duchowego i materialnego ogółu Jej obywateli. Dlatego uważamy za konieczne oparcie życia zbiorowego na zasadzie sprawiedliwości społecznej. Dlatego nasz ruch społeczno - wychowawczy budzi i budzić będzie siły twórcze klasy chłopskiej, aby była zdolna pługiem i karabinem wyznaczać granice Rzeczpospolitej i strzec ich nienaruszalności, oraz budować wielką przyszłość Polski.

W dopływie młodych sił chłopskich do wszystkich stanowisk wojskowych widzimy najlepszy sposób ścisłego zespolenia armii polskiej z klasą chłopską. W osobie Marszałka Śmigłego - Rydza, Wodza Naczelnego, pochodzącego z ludu, spadkobiercy idei Józefa Piłsudskiego, widzimy żywy symbol tego zespolenia.

3) Państwo polskie, jako wykładnik woli narodu polskiego, świadomego swego położenia i swej roli dziejowej, winno oprzeć się o zorganizowane i twórcze grupy społeczne, oraz być kierowane przez rząd silny i sprawny.

Twórcze grupy społeczne — chłopi, robotnicy i pracownicy umysłowi — winny zespalać się w odrębnych organizacjach, związanych w najwyższą wspólną całość narodową, a umożliwiających rozwój ich wartości społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Organizacje te — dobrowolne i samorządne — winny być podstawą powoływania samorządu zawodowego i terytorialnego, jak również izb ustawodawczych. Dążymy więc do zorganizowanej demokracji, w której chłopi, jako pełnoprawni współgospodarze, będą mogli brać pełny udział w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym na wszystkich jego szczeblach.

4) Gospodarcza niezależność i siła Polski, oparta o sprawiedliwość społeczną, wymaga stopniowej przebudowy obecnego ustroju w kierunku gospodarki planowej, regulowanej w jej całokształcie przez państwo.

Twórcza praca, podporządkowana zasadzie naczelnej „dobro państwa prawem najwyższym", stanowi obowiązek i prawo każdego obywatela. Praca nie może być dla nikogo ani przywilejem, ani upośledzeniem. Winna ona być podstawowym tytułem do udziału jednostki w dochodzie społecznym.

Społecznej klęsce bezrobocia, osłabiającej siłę moralną i zdolności twórcze narodu — wypowiadamy walkę. Marnującą się energię ludzką należy przekształcić na pracę, która stanowi największe bogactwo Polski.

5) Emigrację ludności polskiej, nie znajdującej pracy w kraju, uważamy za zło konieczne.

Dla celów emigracyjnych należy uzyskać odpowiednie tereny, na których ludność polska, żyjąca w skupieniu, mogłaby pielęgnować kulturę narodową, godnie reprezentować obywateli i Państwo Polskie, oraz współpracować gospodarczo z Macierzą.

Przy ustalaniu planu emigracyjnego dla nadmiaru ludności musi być wzięta pod uwagę przede wszystkim emigracja ludności żydowskiej, jako żywiołu obcego narodowi polskiemu.

6) Ruch młodowiejski bierze na siebie pionierski obowiązek szerzenia kultury chłopskiej, opartej na rodzimych pierwiastkach cywilizacji zachodniej.

W stosunku do mniejszości słowiańskich w Polsce zmierzamy do pogłębienia braterstwa, opartego na patriotycznej ideologii chłopskiej, wypływającej z poczucia wspólnoty państwowej, oraz realizacji wspólnych i wielkich celów Rzeczypospolitej.

7) Położenie geograficzne ludów rolniczych Europy środkowo - wschodniej pomiędzy morzami Bałtyckiem a Czarnem stwarza ich stałą i wzajemną zależność, oraz wspólność dążenia do bezpieczeństwa od wschodu i zachodu — przy czym misją dziejową Polski jest osiągnięcie i ugruntowanie swobodnego rozwoju tych ludów.

8) Do religii odnosimy się z należną czcią. Uznajemy ją za ostoję moralną człowieka, stanowiącą podstawę jego wartości wewnętrznych. Uważamy religię za czynnik twórczy w życiu narodu, dający cywilizacji wyższą treść duchową i trwałe podstawy rozwoju.

Związki wyznaniowe winny być w dziedzinach, związanych ze sprawami świeckimi, podporządkowane państwu i przystosowane do idei przewodniej Rzeczypospolitej. Dobro narodu i państwa wymaga, aby związki wyznaniowe nie zajmowały się organizowaniem społeczeństwa dla celów politycznych.

W dążeniu do rozbudzenia najwyższej potęgi ducha narodowego i rozwoju zdobywczej roli Polski w życiu międzynarodowym, odrzucamy i zwalczamy wszelkie mieszanie się czynników międzynarodowych w wewnętrzne sprawy Polski.

II. MORALNOŚĆ PUBLICZNA.

10) Treść i formy życia publicznego winny być przepojone zasadami etyki chrześcijańskiej i oparte na sprawiedliwości społecznej.

11) Dążymy do realizacji zasad równości obywatelskiej, a zarazem do podniesienia na równy poziom warunków rozwoju jednostki. Miernikiem wartości człowieka jest jego własna praca.

Zwalczamy przywileje jakichkolwiek grup społecznych lub jednostek.

12) Przestrzegając bezinteresownej działalności publicznej, zwalczamy wyzyskiwanie służby publicznej i pracy społecznej do celów jednostkowych lub grupowych.

Wszelkie stanowiska winny być obsadzane wyłącznie na podstawie rzeczowych wartości kandydatów z wyłączeniem protekcjonizmu.

Najwłaściwszą metodą doboru przodowników życia jest swobodna ich eliminacja przez środowisko, w którym działają.

13). Jesteśmy zwolennikami wolności obywatelskiej tam, gdzie służy ona dobru państwa i ogółu obywateli, oraz gdzie jest zgodna z zasadą silnego i sprawnego rządu. Natomiast zdecydowanie potępiamy wszelkie nadużycia wolności. Do nadużyć tych zaliczamy również stosowanie w działalności brutalnych gwałtów, oraz posługiwanie się kłamstwem i oszczerstwem.

III. KULTURA I OŚWIATA.

14) Prowadząc walkę o duszę narodu i nowy typ obywatela — dążymy do wszechstronnego rozwoju i upowszechnienia kultury chłopskiej, która stanowi niezgłębioną skarbnicę duchowego bogactwa narodu, wzmacniając zarazem więzy jedności narodowej i państwowej obywateli.

15) Całokształt życia wsi i chłopów, jako podstawowe zagadnienie rozwoju kultury narodu i klasy chłopskiej, winien być przedmiotem naukowego badania w Akademii Chłopskiej. Na wyższych uczelniach winny być stworzone katedry historii chłopów, socjologii i ekonomii wsi, oraz katedry nauk technicznych, związanych z rozwojem przemysłu wiejskiego, w pozostałych zaś szkołach wszystkich stopni obowiązkowe wykłady o wsi.

16) W zakresie spraw kulturalno - oświatowych dążymy do: urzeczywistnienia w pełni nauczania powszechnego, opartego na siedmioklasowej szkole powszechnej i jego bezpłatności, oraz tworzenia przedszkoli publicznych; stworzenia warunków, w których dzieci chłopskie będą mogły faktycznie korzystać z dostępu do szkół średnich i wyższych; stworzenia obowiązkowego szkolnictwa dokształcającego na wsi, oraz zorganizowania publicznej oświaty dorosłych w postaci bibliotek publicznych, uniwersytetów wiejskich, domów oświatowych, kin, teatrów; popierania przez państwo i samorząd chłopskich organizacyj i instytucyj społeczno - wychowawczych, oraz kulturalno-oświatowych.

IV. ODRODZENIE GOSPODARCZE.

Odrodzenie gospodarcze wsi zapewni obronność i mocarstwowy rozwój Polski, a zarazem gospodarczy, społeczny i kulturalny rozwój klasy chłopskiej.

W ustroju gospodarczym wsi uznajemy własność prywatną, przy równoczesnym, możliwie pełnym, zorganizowaniu produkcji i wymiany, z szerokim uwzględnieniem form spółdzielczych.

18) Przebudowa ustroju rolnego w Polsce stanowi punkt wyjścia dla przebudowy całokształtu gospodarki i oparcia o zrzeszone gospodarstwa chłopskie. Z zagadnień przebudowy ustroju, rolnego uważamy za najważniejsze i najpilniejsze: zniesienie większej własności ziemskiej bez odszkodowania z ograniczeniem największego obszaru jednego gospodarstwa do 50 ha, upełnorolnienie gospodarstw karłowatych do rozmiarów średniego gospodarstwa chłopskiego, zastosowanie gospodarczych i prawnych środków, nie dopuszczających do nadmiernego podziału gospodarstw chłopskich; umożliwienie planowego odpływu ludności wiejskiej z własnymi kapitałami do innych gałęzi życia gospodarczego, komasację i meliorację. Ziemia z parcelacji powinna dostawać się tylko do rąk tych osób, które utrzymują się całkowicie z posiadanego gospodarstwa rolnego.

Wydatne i wszechstronne podniesienie poziomu gospodarstwa chłopskiego stanowi jedno z naszych naczelnych dążeń. Dla osiągnięcia tego celu winny być zharmonizowane wysiłki organizacyj młodzieży, dobrowolnych organizacyj rolniczych, samorządu gospodarczego i terytorialnego, oraz państwa. Akcja państwa, samorządu terytorialnego i gospodarczego winna się wyrażać w pierwszym rzędzie w udostępnieniu młodzieży chłopskiej oświaty zawodowej, w zakładaniu wzorowych gospodarstw, pomocy kredytowej przy inwestycjach, umożliwieniu sprawnej działalności organizacjom młodzieży i dobrowolnym organizacjom rolniczym, szerzącym w skuteczny sposób wiedzę wśród swych członków.

20) Konieczne jest wydatne podniesienie poziomu wiejskiego gospodarstwa kobiecego. Powołanie do życia odpowiedniej ilości szkół zawodowych, kształcących kobiety wiejskie, pomoc kredytowa, oraz należyta organizacja zbytu wytworów — przyczyniłaby się poważnie do poprawy gospodarczego stanu wsi.

21) Szczególną wagę przywiązujemy do spółdzielczości, jako dźwigni gospodarczego rozwoju wsi, jej samodzielności gospodarczej i społecznej. Organizacja wymiany winna być w całości oparta na zasadach spółdzielczych, usuwających dotychczasowe pośrednictwo, kosztowne i wysoce szkodliwe dla życia gospodarczego wsi. Formy spółdzielcze winny być stosowane nie tylko przy organizowaniu zbytu, lecz i w przetwórczym przemyśle wiejskim, jak również winny być czynione doświadczalne próby prowadzenia gospodarstw rolnych na zasadach spółdzielczych.

22) Warunkiem powodzenia poczynań gospodarczych na terenie wsi jest należyta organizacja aparatu kredytowego. Na terenie wiejskim winny istnieć jednolitego typu instytucje oszczędnościowo - kredytowe, które po przez ogniwa powiatowe winny być połączone w jedną wielką instytucję centralną.

23) Uzupełnienie istniejącej obecnie miejskiej produkcji surowcowej przez produkcję przetwórczą oraz rozwój rzemiosła na wsi prowadzi do uprzemysłowienia wsi, które winno być koniecznym ogniwem w programie gospodarczym państwa

24) Wielki wysiłek uprzemysłowienia kraju i wzmocnienia jego wytwórczości, oraz gospodarczego uniezależnienia się od czynników obecnych szczególnie wrogich naszemu państwu, winien być przeprowadzony planowo i kierowany jednolicie (wg. zasad gospodarki uspołecznionej).

Wypowiadamy się za upaństwowieniem podstawowych surowców oraz upaństwowieniem względnie uspołecznieniem aparatu kredytowego i większych warsztatów przemysłowych.

25) Młodzież chłopska, w poczuciu odpowiedzialności za losy narodu i państwa, dążyć będzie do stworzenia odpowiedniego systemu organizacyjnego rolnictwa na wypadek wojny. W systemie tym chłopi wezmą na siebie utrzymanie wytwórczości rolnej i hodowlanej na najwyższym poziomie oraz zorganizowanie sprawnego wyżywienia wojska i ludności cywilnej.

Na marginesie

NA PROGU NOWEGO ROKU

Koniec roku, ściślej dni świąteczne Bożego Narodzenia, przyniosły dorocznym obyczajem powszechność deklaracji, składanych przez różnorodne czynniki na rzecz haseł wewnętrznej zgody i jedności Narodu, wyrażających się w skrócie pięknymi i prostymi słowami: „pokój ludziom dobrej woli!".

Akord ten ma być niejako testamentem kończącego się roku na rzecz swego następcy. Akord to piękny! „Pokój ludziom dobrej woli!". W słowach tych zamyka się tęsknota do jakiegoś innego i lepszego ustroju, opartego przede wszystkim o docenienie duchowych wartości zarówno zbiorowisk, jak i jednostek ludzkich.

Lecz tęsknota nie jest wystarczającym czynnikiem realizacji. Nie jest nim również sama powszechność głoszenia pewnych haseł. Ważna jest niewątpliwie i nade wszystko zgodność pomiędzy głoszeniem haseł i ich realizacją. A tutaj już nie może wystarczyć samo zadowolenie, że oto tylu i tak zdolnych ludzi pisze różnymi zdaniami myśl mniej więcej tę samą. Trzeba postawić sobie pytanie, czy istotnie podąża się w tym kierunku, który się głosi, więcej, czy rezultaty osiągnięte są istotnie rezultatami wartościowymi, czy mają to głębokie znaczenie, które ma niejako uzasadnić powszechność tęsknot, czy dążeń w kierunku ich realizacji.

I tutaj — czyniąc bilans ubiegłego roku — nie można już ze zbyt łatwym optymizmem przejść do porządku dziennego nad poruszanym zagadnieniem, nie można jednostronnie dać się uwieść pozorom, nie upewniwszy się co do istoty zawartej w nich treści.

Rok 1937 rozpoczął się pod znakiem łatwej asymilacji językowej pewnego nowotworu, słowa brzydkiego zarówno w treści, jak w formie, słowa „dekompozycja", mającego być obrazem układu naszych stosunków politycznych. Łatwość przyjęcia się tego słowa była świadectwem istotnego znaczenia zjawiska, któremu słowo to zostało — jako miano — przydane. Zjawisko to było wyrazem przeżycia się i dekadencji pewnych form życia zbiorowego, odgrywających w poprzednim okresie rolę poważną, powiedzmy wyraźnie, form reprezentowanych przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. przy równoczesnym braku innej odpowiednio dojrzałej formy zastępczej, czy następczej.

Rok kończący się upłynął pod znakiem szukania tej formy. Oparciem w tym szukaniu mógł być istotnie głęboki zasięg w społeczeństwie tęsknoty do stabilizacji życia polskiego. Jednakże warunkiem znalezienia wartości nowych jest zdolność oderwania się od starych. Tej zdolności rok 1937 nie ujawnił. Przeciwnie, zaczęty, jeśli chodzi o dawny obóz Marszałka Piłsudskiego, pod hasłami szukania dróg nowych, skończył się — szczególnie na terenie Parlamentu — wyraźną manifestacją na rzecz formalnego i faktycznego odbudowania zlikwidowanego w pewnym okresie przez swego Twórcę — Bezpartyjnego Bloku.

Tego rezultatu nie można uważać za sukces, nie można zapisywać go na dobro minionego roku. Wprawdzie stało się to pod hasłem, mającym dziwnie sugestywną i dziwnie niebezpieczną moc dla społeczeństwa polskiego: pod hasłem zgody narodowej, zgody wszystkich ze wszystkimi.

Lecz tego rodzaju hasło pozornie tylko ma w sobie moc zawsze pozytywną. W istocie jedność, zgoda, konsolidacja — wszystkie te słowa tak dziś często używane, a tak zawsze ukochane przez ludzi, którzy radziby, aby naokoło nich nic się nigdy nie działo — to hasło ma dwojaką treść i dwojakie oblicze. Jest ono pozytywne, o ile ma na celu poskromienie wichrzycielstwa i anarchii, tym samym zaś spotęgowanie twórczej siły Narodu, zewnętrznej potęgi Państwa. Jest ono jednak poważnym niebezpieczeństwem, gdy celem jego jest dostosowanie tempa zbiorowego życia do kroku najleniwszych w Narodzie. Zdolność maksymalnego skupienia sił dla osiągnięcia realnego i wartościowego celu, to wielka zaleta społeczeństw dojrzałych. Natomiast wznoszenie ołtarzy dla fetysza „konsolidacji", „zgody narodowej", pojętych jako cel sam w sobie — to przesłona dla gnuśności społeczeństw leniwych w myśli, lub w czynie.

W przeszłości już raz w Polsce fetysz narodowej zgody wyniesiony był niezmiernie wysoko. Wszystko, co czyniliśmy, a raczej, czego zaniedbywaliśmy, miało na sobie piętno dążenia do zgody i jedności, której jedynym ideowym wyrazem i uzasadnieniem było hasło: „Kupą, Panowie Bracia!".

Była to owa Zgoda, o której w „Dumie o Hetmanie" pisze Żeromski:

> *„W pośród nas zasiada niewidzialna nasza wieczna królowa Zgoda.*
> *Ona jedna trzyma nas i w naród spaja.*
> *Kto naszej królowej Zgody pojąć nie może i uznać nie chce, — nie jest Polakiem.*
> *A Zgoda nasza narodowa jest w tym wszystkim, co ani jednemu z nas w niczym nie wadzi, ani jednego z nas na nic nie naraża, a wszystkim nam korzyść przynosi.*
> *Na to jest nasza pospolita zgoda.*
> *Tę okrzykujemy dziarskim, tłumnym pokrzykiem".*

Wyrazem tak pojętej zgody było liberum veto, jako naturalne rozwinięcie zasady zgody, dziś byśmy powiedzieli „konsolidacji", pojętej jako hasło samo w sobie, jako cel nadrzędny.

Przypomnienie tych wynaturzeń, płynących z nadmiernego posunięcia do rzędu celów, tego co może być tylko jednym ze środków i warunków istotnie celowego działania, wydaje nam się być wartościowym akordem w tej symfonii głosów, które padają z racji Świąt Bożego Narodzenia i życzeń przyszłorocznych na rzecz narodowej harmonii i zgody, które wyrażają się, między innymi, w tym jakże pięknym i szlachetnym życzeniu: „pokój ludziom dobrej woli!".

„Pokój ludziom dobrej woli" — to nie znaczy pokój wszystkim i wszystkiemu, pokój za każdą cenę. To nie wzajemny układ asekuracyjny ludzi bezwolnych i nie mają-

cych odwagi żadnego działania. To docenienie wartości moralnych, jako naturalnego składnika i dopełnienia każdego istotnie rozumnego i szlachetnego czynu, lecz nie apologia bezczynności, nie apologia martwoty.

ROCZNICA

Na marginesie tegorocznych obchodów krwawej i tragicznej rocznicy śmierci Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza, muszą nasunąć się pewne uwagi o charakterze nie tylko politycznym, lecz i moralnym.

Człowiek żywy ma możność decydowania o tym, jaką chce w danym momencie wypełnić rolę polityczną. Inaczej jest z symbolami, w które krystalizuje się pamięć Zmarłych. Mogą one być używane do celów różnych i przez różne strony. Lecz z tym trzeba być już bardzo ostrożnym. Jest to już zawsze na pograniczu nadużycia.

W roku 1930 występowaliśmy na łamach ówczesnego „Przełomu" z protestem przeciwko uproszczeniu, które — w szlachetnej niewątpliwie intencji — chciało ze śmierci Narutowicza uczynić symbol walki z całą ówczesną opozycją, od Narodowej Demokracji do P.P.S. włącznie. Rozumowanie to wydawało nam się nie tylko uproszczone, lecz i wysoce niebezpieczne. Podobnie dzisiaj niebezpieczne — z punktu widzenia istotnej czci Pamięci tragicznie Zmarłego Prezydenta — wydaje nam się inne uproszczenie, które chce z Jego Imienia znowu czynić sztandar politycznego działania, tym razem po drugiej nie jako stronie frontu.

Krew Gabriela Narutowicza nie powinna być zmarnowana jako symbol w naszej historii, jako wielkie ostrzeżenie przed tragicznymi skutkami nieodpowiedzialnych haseł, mów i czynów. Lecz równocześnie nie znaczy to, by z krwi tej można było czynić nadmierny użytek, jako z hasła takich lub innych politycznych działań. Z tym, jak pisaliśmy wyżej, trzeba już postępować bardzo ostrożnie, by to, co ma być hołdem, nie stało się nadużyciem.

POPRAWKA SENATORA PETRAŻYCKIEGO

Na porządek dzienny posiedzeń izb po feriach świątecznych powróci m. in. sprawa zniesienia sądów przysięgłych, wzbogacona o polityczny moment zainteresowań, w postaci poprawki p. sen. Petrażyckiego, przewidującej, że sprawy czynów karalnych, popełnionych przed uchwaleniem ustawy o zniesieniu sądów przysięgłych, będą nadal rozpatrywane i sądzone w trybie dotychchczasowym, to jest przez sądy przysięgłych.

Polityczny charakter tej poprawki jest jasny. Chodzi właściwie o jedną sprawę, o sprawę Doboszyńskiego. Wnioskodawca wychodzi z założenia, że przekazanie powyższej sprawy normalnym sądom państwowym stanowiłoby niejako naruszenie „praw nabytych" myślenickiego powstańca.

Rozumowanie sen. Petrażyckiego jest dosyć niebezpieczne. Opiera się ono o założenie, że w danym wypadku sąd państwowy musi być surowszy, niżeli sąd przysięgłych, że Doboszyński — podejmując próbę napadu na Myślenice — mógł niejako wychodzić z przekonania, że orzeczenie sądu przysięgłych da mu to, co istotnie było wynikiem pierwszego procesu krakowskiego, to jest bezkarność jawnego pogwałcenia porządku prawnego Państwa.

Lecz jeśli tak, to ostrze całego rozumowania musi się zwracać przeciwko sądom przysięgłych, jako instytucji, w szczególności zaś przeciwko sądowi przysięgłych, jako instytucji powołanej do orzekania w powyższej sprawie. Ideałem sprawiedliwości nie może być bezkarność grzechów jawnych. Przeciwko tego rodzaju bezkarności występował już bardzo zdecydowanie Piotr Skarga, widząc w niej to, czym była w istocie: czynnik podważenia porządku i powagi zarówno państwa, jak prawa.

Niewątpliwie byłoby bardzo źle, gdyby istotnie sprawa zniesienia sądów przysięgłych musiała być podniesiona w wyniku sprawy Doboszyńskiego i rozpatrywana pod kątem zabezpieczenia wymiaru sprawiedliwości w tej sprawie. Tak nie było. Sprawa ta ma swoją przeszłość i historię. Lecz jeśli tak, to wnoszenie do niej momentu politycznego w postaci troski o ewentualne zapewnienie bezkarności przywódcy anarchicznego ruchu, szczególnie po skazaniu wprowadzonych przez niego do akcji uczestników niedoszłego powstania, ma dziwną wymowę. To już nie jest troska o sprawiedliwość. To jest troska o coś zupełnie innego, o ewentualną popularność tego rodzaju stanowiska w tych samych kołach społeczeństwa, które z zadowoleniem przyjęły zaprzeczenie ławy przysięgłych krakowskich w stosunku do najbardziej oczywistych faktów, związanych z wypadkami myślenickimi.

Lecz ta troska o popularność pewnych stanowisk w pewnych okresach była bodajże najsłabszą stroną orzecznictwa sądów przysięgłych. Prowadziła ona do wydawania wyroków, które wyłamywały się z pod wszelkiej logiki, zarówno prawnej, jak czysto ludzkiej. Jeśli dziś sprawa ta jest przedmiotem zainteresowania i decyzji naszych izb parlamentarnych, nie trzeba, aby ten właśnie moment ciążył również nad stanowiskiem ciał ustawodawczych.

I dlatego, jeśli chodzi o poprawkę sen. Petrażyckiego, nie wydaje nam się ona posunięciem słusznym i szczęśliwym ani w istocie swej, ani w snującym się dookoła niej wątku motywów o charakterze bodajże bardziej politycznym, aniżeli prawnym.

FRASZKI

KLAWISZE

(x). Gdy już w Konserwatorium był przymus ławkowy,
Nie długo czekać, wkrótce powstał kłopot nowy,
Rzecz trudna i poważna, niemal kwestia stanu:
Jak zastosować podział ten do fortepianu?...
Czy Żyd ma grywać w basie, chrześcianin w wiolinie?
Czy odwrotnie? — Na radach cały dzień przeminie...
W wyniku obrad Rektor ten wyrok napisze:
„Dla chrześcian białe, Żydom zaś czarne klawisze!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. JANINA Z LIPIŃSKICH ROGOWSKA

W dniu 27 listopada 1937 r. szeregi Zetowe poniosły nową bolesną stratę — odeszła z tej ziemi ś. p. Janina z Lipińskich Rogowska.

Urodzona w Moskwie w 1887 r., tam również ukończyła gimnazjum, a następnie Instytut Medyczny Żeński. Od lat najmłodszych gorącem sercem ukochała Polskę, którą znała nie tylko z literatury i poezji, lecz i z częstych wycieczek wakacyjnych do kraju. To też od 15-go roku życia staje do walki o Polskę Niepodległą — z początku jako przewodnicząca Koła Gimnazjalnego, a następnie od 1907 r. jako koleżanka Zetowa w Moskwie.

W 1909 r. ś. p. Janina Lipińska wychodzi za mąż za kolegę Ludwika Rogowskiego — i od tego czasu dom pp. Rogowskich staje się ośrodkiem życia akademickiego polskiego w Moskwie — tu się przeważnie odbywają zebrania Grupy Zetowej i Koła Braterskiego, tu młodzież nasza, przybywająca na studia, znajduje opiekę i serdeczność przyjacielską.

Natura bogato wyposażyła ś. p. kol. Janinę w różne dary — obok umysłu nadzwyczaj jasnego i bystrego posiadała wybitne talenty: muzyczny i malarski, w każdej z tych dziedzin dochodząc do bardzo poważnych wyników. A jednocześnie miała tyle uroku osobistego, tyle serdeczności i zrozumienia dla każdego, że była otoczona powszechną miłością i szacunkiem.

W końcu 1918 r. ś. p. kol. Janina powraca z rodziną do Polski i tu jako lekarz-pediatra pracuje kolejno w Piotrkowie, Łodzi i Warszawie i na tym polu również zdobywając sobie duże uznanie.

Lecz już od 1928 r. ciężka choroba serca zaczyna podcinać siły tego pięknego Człowieka-Kobiety; stan zdrowia Jej pogarsza się coraz bardziej, tak dalece, że od połowy 1935 r. nie opuszcza już wcale łóżka; pomimo to do ostatniej chwili życia zachowuje przedziwną pogodę ducha, znosi z nadludzką cierpliwością straszne cierpienia fizyczne, ogromnie żywo reaguje na wszelkie przejawy życia społecznego i politycznego i nie przerywa poważnej pracy umysłowej i duchowej.

W dniu 27 listopada r. b. przychodzi ostatni silny atak sercowy, który przecina nić Jej życia na ziemi. W dniu 30 listopada o zmroku na cmentarzu zebrała się spora garstka przyjaciół i kolegów, ażeby w głębokim skupieniu i smutku pożegnać drogą Zmarłą. W imieniu Senioratu O.M.N. żegnała Ją serdecznie kol. Podgórska.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Incydenty w Chinach

(z. d.) Incydenty militarne na Dalekim Wschodzie w ostatnich latach często się zdarzały. Jeden raz miały istotnie charakter przypadkowy, innym razem były sposobem rozpalenia ognia wojennego. Jeśli zaś miały miejsce często w czasie pokoju, to nic dziwnego że mnożą się obecnie, gdy Japonia prowadzi na terenie Chin wojnę bez wypowiedzenia. Wynikająca stąd zawikłana sytuacja międzynarodowo - prawna i ze względu na obecność w Chinach wojsk państw neutralnych międzynarodowo — militarna, stwarza niejednokrotnie warunki, w których przy najlepszych chęciach armii walczących incydentów nie da je się uniknąć.

Jednak w każdym incydencie zaangażowany jest prestiż jakiegoś mocarstwa. Kiedy w pierwszych dniach września b. r. lotnicy japońcy ostrzelali pod Szanghajem samochód ambasady angielskiej, w którym jechał ambasador i atache wojskowy, przyczym ambasador odniósł rany, Japonia tłomaczyła się „przeoczeniem" przez lotników znaków na samochodzie. Niemniej jest pewne, że gdyby Anglia, Stany Zjednoczone i Francja były gotowe reagować na tego rodzaju przeoczenia demonstracją flot — lotnicy japońscy nie strzelaliby do pierwszego lepszego spostrzeżonego samochodu w terenie, gdzie mieszka olbrzymia ilość eksterytorialnych cudzoziemców. Ciekawe będzie zestawić z tym wydarzeniem to, co mówił Poincare o wypowiedzeniu wojny Francji przez Niemcy. Były prezydent Republiki przypominał w jednym ze swych odczytów, że „mimo wypowiedzenia wojny Rosji przez Niemcy, spacerował p. baron von Schoen (ambasador niemiecki — prz. nasz) od 48 godzin po Paryżu i z niezwykłą ostentacją chodził po restauracjach na śniadania i obiady. Mogło się wydawać, że oczekiwał zajścia, któreby dostarczyło jego ojczyźnie dostatecznych powodów do zaczepienia Francji. Dzięki roztropności paryżan sposobność jednak się nie trafiła..."

Do incydentów można więc stosować dwie miary. Mierzone jedną stają się najbłachsze incydenty powodem wypowiedzenia wojny — mierzone drugą likwidują się przy pomocy gładkich not, mimo że kosztują krew.

W zestawieniu cytowanych wyżej dwóch faktów — postrzelenie ambasadora brytyjskiego pod Szanghajem i zachowanie się ambasadora niemieckiego w Paryżu w pierwszych dniach sierpnia 1914 — odzwierciadla się doskonale sytuacja międzynarodowa, jaka wytworzyła się dziś w Chinach: nikt, poza Japonią, nie pragnie wojny; probierzem tego — dla Japonii, która chce podbić Chiny nie narażając się na starcie z mocarstwami — są incydenty, przez nią wywoływane. Przypomnijmy sobie po kolei najważniejsze z nich. Dnia 4 lipca b. r. oddziały japońskiej straży granicznej obsadziły dwie wyspy na Amurze, należące do Sowietów. W toku starć ze strażą sowiecką Japończycy zatopili Sowietom następnego dnia jedną kanonierkę. W dwa dni potem następuje niewytłumaczone starcie nocne między wojskami japońskimi i chińskimi w okolicach Pekinu. Mija kilka dni, w których się okazuje, że mimo przejżystej gry Japonii, Sowiety nie wykorzystywują okazji do manifestacji zbrojnej — nie chcą wojny z Japonią. Następstwa nie dają na siebie czekać: Japończycy zaczynają się posuwać w głąb Chin. W pięć miesięcy po tych incydentach warunki militarne zmuszają Japonię przygotować zajęcie Kantonu. Tutaj Japończycy musieliby wkroczyć w strefę bezpośrednich zainteresowań strategicznych Anglii, za którą stoją Stany Zjednoczone. Sprawa jest poważna i — mają miejsce nowe, poważne incydenty: lotnicy japońscy ostrzeliwują i bombardują kanonierki angielską i amerykańską, przy czym amerykańska zostaje zatopiona.

Japonia znowu założyła swoisty termometr, aby zmierzyć temperaturę krwi politycznego organizmu obu mocarstw anglosaskich. Nie chodzi tu zresztą o przekonanie się czy aby Anglicy i Amerykanie nie nabrali ochoty do wojny. Raczej zależało Japonii na wyjaśnieniu, czy może oczekiwać koncentracji okrętów liniowych anglosaskich na Dalekim Wschodzie. Inaczej ułoży się marsz Japończyków do Chin południowych, jeśli w bazach w Hong-Kongu, Singapoore i Cavite będzie stało, jak obecnie po kilka krążowników, aniżeli w razie, gdyby zawitały tam okręty liniowe w odpowiedniej asyście. Choć Japonia jest pewna, że Anglosasi nie zaczną wojować o ile Japonia nie podejmie przeciwko nim jawnych kroków wojennych, to jednak z chwilą zjawienia się u wybrzeży Chin floty potencjalnie groźnej dla Japonii wzrosłoby kolosalnie ryzyko nieprzewidzianych niebezpieczeństw akcji w strefie bezpośrednich interesów strategicznych angielskich. Japonii zależało na wyjaśnieniu trzech spraw: czy flota Stanów gotowa jest do odpłynięcia na Pacyfik w stanie pogotowia wojennego, czy Anglicy mogą, wobec sytuacji w Europie, posłać do Singapoore i Hong-Kongu kilku pancerników, wreszcie czy Anglosasi zdecydowali się ostatecznie na solidarną akcję zbrojną. Odpowiedź na dwa pierwsze pytania wypadła narazie przecząco. Co do trzeciego to okazało się, że współpraca Anglosasów przedstawia jeszcze wiele do życzenia. A więc droga do Chin południowych jest dla Japończyków otwarta i pozbawiona ryzyka konfliktu międzynarodowego.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Problem rzemiosła w Niemczech

Statystyka niemiecka traktowała dotychczas rzemiosło łącznie z przemysłem, tak, że stwierdzenie cyfr dotyczących położenia gospodarczego rzemiosła nastręczało duże trudności. Od początku bieżącego roku w Urzędzie Statystycznym Rzeszy został wprowadzony specjalny dział, dotyczący rzemiosła, który braki te na przyszłość usunie.

Dla dotychczasowej oceny położenia rzemiosła statystyka Rzeszy opracowała zestawienie liczbowe z roku 1935. Według zestawień, dotyczących podatku obrotowego, 1.104.300 warsztatów rzemieślniczych zapłaciło podatku od obrotów 19,3 miliardów RM. Do tej sumy doliczyć należy około pół miliona obrotu warsztatów mniejszych (poniżej 1.000 RM obrotu) nie uwzględnionych w zestawieniu podatku obrotowego. Razem więc obroty rzemiosła w roku 1935 ocenić należy na około 20 miliardów RM.

Powyższa suma obrotów za 1935 rok dowodzi, że rzemiosło niemieckie wkroczyło na drogę rozwoju lat przedkryzysowych 1926/29, gdyż aczkolwiek nie osiągnęło jeszcze sum obrotowych z tych lat, to jednak gospodarczo przekroczyło te lata, gdy weźmiemy pod uwagę, że ceny wyrobów rzemieślniczych stoją na niższym poziomie niż w latach 1928/29.

Położenie obecne rzemiosła określą poza tym cyfry: 1.652.751 czynnych warsztatów (na 1 kwietnia 1937 r.), 2 miliony pracowników i 618 tys. czeladników*).

Przytoczone cyfry nie odzwierciadlają dokładnie położenia rzemiosła. Przy dokładnej analizie uwzględnić należy: spadek warsztatów rzemieślniczych i przestarzenie w niektórych gałęziach rzemiosła.

Spadek warsztatów rzemieślniczych widzimy już w latach od 1882 — 1895, gdzie ubyło ich około 30%. W porównaniu do roku zeszłego (1 kwiecień 1936 do 1 kwietnia 1937) widzimy ubytek o 48 tys. warsztatów.

Z powyższej sumy uwzględnić należy około 35 tys. warsztatów, gdyż ubytek pozostałych wytłumaczyć można przez liczenie drukarni i zakładów jubilerskich do przemysłu i t. p. formalnych przesunięciach.

Więcej refleksji wzbudza wiek rzemieślników — majstrów, z których 22,5% znajduje się w wieku 40 — 50 lat, 21% w 50 — 60, a 14% ponad 60. Przytoczone momenty spadku warsztatów czynnych i niezdrowa pod względem wieku struktura rzemieślników korygują optymistyczny obraz położenia rzemiosła, jaki dały cyfry statystyczne.

Rzemiosło niemieckie opierało się na zasadzie wolności jego wykonywania. W tym leży przyczyna, że w latach bezrobocia tysiące bezrobotnych założyło małe warsztaty rzemieślnicze lub zostało rzemieślnikami. Przyrost samodzielnych rzemieślników wynosił w latach 1931 — 1936 przeciętnie cyfrę 53 tys. rocznie. W tym też leżały przyczyny wydania nowej ustawy o rzemiośle w roku 1935, która przewidziała dyplomy uzdolnienia. Bezrobotni, o których była mowa poprzednio są według ustawy tej zobowiązani w ciągu 5 lat zdać egzamin i otrzymać dyplom. Wynikiem tej ustawy jest oczywiście spadek zatrudnienia w rzemiośle. Ważnym zagadnieniem dla struktury rzemiosła i przemysłu jest kwestia wykształcenia następców — czeladników. Pod tym względem spotykamy się ze spadkiem ilości czeladników (1926 — 765.887, 1933 — 419.000). Dalszy rozwój tej kwestii wiąże się z kwestią uprawnień do kształcenia rzemieślników, które nowa ustawa przyznała posiadaczom dyplomu mistrzowskiego, których na początku 1936 r. jeszcze nie posiadało około 50% wszystkich warsztatów rzemieślniczych Niemiec. Ilość uzyskanych dyplomów mistrzowskich osiągnęła w 1935 r. liczbę 67.447, w miarę zaś dalszego wzrostu liczby mistrzów nastąpi również wzrost zatrudnionych czeladników.

Zagadnienie kredytów dla rzemiosła do niedawna było traktowane przez czynniki rządowe z wielką powściągliwością ze względu na tendencję państwa do rozbudowy przede wszystkim przemysłu. W 1933 nastąpiło znaczne ożywienie ze względu na zainteresowanie rzemiosła w ogólnych inwestycjach państwowych, zbrojeniach i ze względu na pożyczki państwowe dla zawierających małżeństwa i t. p. formy kredytu pośredniego. Sytuację rzemiosła ułatwia przede wszystkim faza dobrej koniunktury.

Kredyt dla rzemiosła ma charakter kredytu zaufania dla osoby i kredytu ściśle z tą osobą związanego. Koncentracja kredytu w Banku Rzemiosła małym warsztatom rzemieślniczym nie dopomogła, czego dowodzi to, że prawie jedynymi ich źródłami kredytu są kasy oszczędnościowe i instytucje rzemieślnicze lub ogólno - gospodarcze.

Nową formę pomocy kredytowej przy zakupie surowców potrzebnych w rzemiośle stworzono przez zorganizowanie specjalnej instytucji z udziałem Izb Rzemieślniczych, Związków Gospodarczych, Gmin i Banku Rzemiosła. Dla rzemieślników, chcących założyć własne warsztaty, kredyty uruchomił Front Pracy.

Ze względu na wykazaną wyżej strukturę wieku rzemieślników ważna jest kwestia ubezpieczeń i rent starczych. W tym drugim celu stworzona została Kasa Zasiłkowa, opierająca się na przymusowych wpłatach. Ubezpieczenia zaś mają być dopiero przymusowe. Według oświadczenia Ministra Pracy z grudnia 1936 należy przypuszczać, że zarówno kwestia rent starczych jak i ubezpieczeń na wypadek choroby uregulowana będzie

*) Mitteilungen des Hamburgischen Welt - Witschafts Archivs, 1937, zeszyt 24.

niedługo w ramach ogólno - państwowego systemu ubezpieczeń, co pociągnie za sobą likwidację Kasy.

Powyższy szkic o stanie rzemiosła w Niemczech może być przyczynkiem do dyskusji nad tym zagadnieniem w Polsce, co jest aktualne zwłaszcza ze względu na nowelizację prawa przemysłowego.

Władysław Fischer.

tu, domagają się powrotu Gdańska do Niemiec, ale łącznie z korytarzem („...but not without the Corridor"). Mimo wszystko przez 12 lat Gdańsk jest utrzymywany w zależności: ekonomicznie jest on związany z Polską, konstytucyjnie z Ligą, politycznie z Niemcami. Obecnie dwa pierwsze powiązania osłabły nie bez błędów, popełnionych przez Gdańsk. W rezultacie zależność od Niemiec jest do tego stopnia wzmocniona, że od jednego słowa Berlina dwie poprzednie są zupełnie uzależnione."

O NAS U OBCYCH

»Times'y« o sytuacji w Gdańsku

Jak wiadomo opinia angielska wykazuje w ostatnim czasie dużo zainteresowania dla spraw W. M. Gdańska. Jednym z objawów tego zainteresowania jest m. in. wystąpienie londyńskich *Times'ów* z 9.12, ciekawe ze względu na formę i sposób podejścia do przeprowadzonej w tym wystąpieniu analizy aktualnego stanu sprawy gdańskiej.

Sprawa stabilizacji wpływów narodowego socjalizmu w W. Mieście została — zdaniem pisma — całkowicie przesądzona na rzecz NSDAP przez takie fakty jak: zlikwidowanie partyj, przeprowadzenie zwycięskiej walki z Genewą i wreszcie przez zupełne podporządkowanie życia gdańskiego narodowemu socjalizmowi. W ten sposób został osiągnięty pierwszy cel, jaki narodowy socjalizm postanowił zrealizować po wejściu na teren Wolnego Miasta.

W jakim kierunku pójdzie dalszy bieg wypadków? Według „Times'ow" na to pytanie trudno otrzymać w Gdańsku jednolitą odpowiedź, aczkolwiek faktem jest, że większość Gdańszczan z dużą satysfakcją powitałaby powrót W. Miasta do Rzeszy. Na rychłe ziszczenie się tych nadziei nie liczą nie tylko Gdańszczanie, lecz również ich przywódcy, którzy nawet oświadczają, że nie wprowadzą żadnych zmian bez uprzedniego uzgodnienia ich z Wysokim Komisarzem Ligi Narodów, z którym współpraca ułożyła się naogół dobrze.

Z kolei przedstawiają „Times'y" punkt widzenia Niemców i Polaków na zagadnienie Gdańska.

Gdańsk — mówią Niemcy — został oderwany od Niemiec i wbrew swej woli wciągnięty do współpracy z Polską, posiadającą niższą stopę życiową od Gdańska. Określenie „wolne miasto" nie jest na miejscu, gdyż konstytucyjnie Gdańsk jest uzależniony od Ligi Narodów, a ekonomicznie od Polski. Polacy z początku dawali Gdańskowi obiecane obroty handlowe, z czasem jednak odwrócili się od niego i skierowali się ku własnemu portowi—Gdyni, „na wybrzeżu korytarza" („...on the coast of the Corridor"). Koleje w Gdańsku są polską własnością, przy czym połowa urzędników, to Polacy. Gdańsk nie ma pełnej kontroli nad portem i dzieli się z Polską jednostkami okrętowymi pod neutralnym przewodnictwem. W sprawach zagranicznych wreszcie Gdańsk nie posiada głosu, gdyż zastępuje go Polska.

Argumenty strony polskiej przedstawiają się — zdaniem pisma — następująco:

Do r. 1914 Gdańsk był przede wszystkim stocznią okrętów; handel cały natomiast był kierowany na Hamburg, Lubekę, Szczecin i Królewiec. Aby ożywić życie gospodarcze w Gdańsku rząd niemiecki osadził nawet w mieście 17 korpus armii niemieckiej, dowodzony przez gen. v. Mackensena. Po wojnie światowej nastał dla Gdańska okres wielkiego rozwoju ze względu na jego charakter jedynej drogi morskiej dla świeżo powstałego Państwa Polskiego. Pobudowana później Gdynia nie stanowi dla Gdańska poważniejszej konkurencji, gdyż i tak Gdańsk ma się obecnie o wiele lepiej, niż przed wojną.

Powyższe „nieuzgodnione" stanowisko stron — strony niemieckiej i polskiej—nazywają „Times'y" punktem patrzenia „dobrodziejów" i „uciemiężonych" (the views of „the benefactors" and of „the oppressed"). Nad tymi stanowiskami jednak dominuje — zdaniem pisma — niewypowiadany publicznie sentyment przeciętnego gdańszczanina, którego dzisiejsze skłonności ku narodowemu socjalizmowi należy tłumaczyć reakcją przeciwko polskiej chęci zawładnięcia Gdańskiem, wzgl., podkreślają „Times'y", urojonej chęci zawładnięcia. Dużą rolę w kształtowaniu się tych sentymentów gdańszczanina odgrywa jednak lokalny patriotyzm gdański. Przeciętny Gdańszczanin — powiadają „Times'y" — wie, że jego stopa życiowa jest wyższa od stopy życiowej Polaków, czy nawet Niemców. Dlatego też, czując za sobą tradycję historyczną, czy też wspominając dni, w których rozmawiał z królami, Gdańsk chciałby się uprzednio upewnić, jaki aspekt mieć będą różne jego sprawy po ewentualnej zmianie. Jeżeli do wysuwanych zastrzeżeń weźmie się pod uwagę fakt, że ze względu na duże zainteresowanie stocznią gdańską ze strony polskiej wielu Gdańszczan pracuje na rzecz firm i przedsiębiorstw polskich, to wynikające stąd — zdaniem pisma — pokusy ekonomiczne mogłyby wpłynąć na przyszłe losy W. Miasta.

W ostatecznych konkluzjach „Times'y" opowiadają się jednak nieoczekiwanie za uwzględnieniem postulatów niemieckich, mimo, że — jak to widzieliśmy wyżej — dosyć wyraziście określiły stanowisko strony polskiej, czy też zdeterminowane „patriotyzmem lokalnym"—według nomenklatury cytowanego pisma — stanowisko Gdańszczan, którzy, mając dokonać wyboru między Niemcami a Polską, kto wie, czy nie odpowiedzieliby się za Polską.

Oto konkluzje „Times'ów":

„Najlepszym wyjściem dla Gdańszczanina byłoby, gdyby Gdańsk wrócił do Niemiec, ale w pełnym porozumieniu z Polską. Wadą takiego rozumowania jest jednak to, że z jednej strony Polacy twierdzą, że nie oddadzą Gdańska, z drugiej zaś strony, że narodowi socjaliści, rozważając problem znalezienia nowych rynków zby-

Stosunki polsko-francuskie w oświetleniu litewskim

Wychodzące w Kownie pismo *Lietuvos Žinios* przyniosło w n-rze 279 z 7.12 br. obszerną korespondencję z Paryża, omawiającą *stosunki francusko - polskie* na przestrzeni ostatnich 4 lat.

Okres ten charakteryzuje — zdaniem pisma — początkowo pogorszenie się tradycyjnych stosunków francusko-polskich, do czego przyczyniły się nie tylko pewne posunięcia z zakresu wielkiej polityki, lecz również i t. zw. błędy psychologiczne, popełnione przez Francję w stosunku do Polski. Tak więc określenie przez Niemców Polski jako wasala Francji, w licznych wypadkach znajdowało potwierdzenie w niewłaściwym ustosunkowaniu się Francji do Polski. Klasycznym przykładem na to były formy przyjmowania polityków polskich we Francji, za co Polska odpowiednio odwzajemniała się przy pobycie w Polsce polityków francuskich. Dalej — jak długo sprawa t. zw. korytarza nie była uregulowana, wielu Francuzów gotowych było nawet do oddania go Niemcom za cenę pokoju. Kiedy zaś Polska bezpośrednio z Niemcami tę sprawę odpowiednio wyjaśniła, to wówczas ci sami Francuzi, którzy nie tak dawno temu jeszcze żonglowali w swych pomysłach politycznych Pomorzem, zarzucali Polsce, że sprzedała się Niemcom. „Filozofowanie — powiada tu dosłownie pismo — na rachunek Czechosłowacji, Polski i Litwy, Francuzi uważają za rzecz normalną, gdy tymczasem inni muszą być innego o tym mniemania".

Mimo te wszystkie braki, w stosunkach wzajemnych Polski z Francją nie tylko, że nic nie dzieli, lecz przeciwnie — wszystko łączy, przyczym najsilniejszą więzią są tu tradycje historyczne i walka z ekspansją germanizmu.

„Flirt niemiecko-polski" nazywa „Lietuvos Žinios" zjawiskiem, przeciwnym naturze. Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że jak z jednej strony Polska bez sojuszu z Francją nie będzie zdolna utrzymać swej niepodległości w swoich dzisiejszych granicach państwowych, tak z drugiej strony Francji zależy b. mocno na bliższych stosunkach — z Polską i Małą Ententą. Przyznanie przez Francję pożyczki Polsce wynikło rzecz prosta nie tyle z miłości, ile z potrzeby. „Po polskiej czy czeskiej Sadowie nastąpiłby i francuski Sedan".

Jeżeli chodzi o porozumienie polsko - niemieckie z 1934 r., to „Lietuvos Žinios" nazywa je nie tylko zwycięstwem dyplomatycznym Hitlera, lecz w równym stopniu zwycięstwem Polski. Niebezpieczeństwo rewizji zachodnich granic Polski zostało odsunięte. „Lietuvos Žinios" podkreśla tutaj, że równocześnie Polska była dotąd jedynym państwem, które zdecydowało się czynnie wystąpić przeciwko hitleryzmowi (Westerplatte).

Wywody swe kończy „Lietuvos Žinios" omówieniem niekorzystnego — jego zdaniem — wpływu stosunków polsko - czeskich na całość stosunków francusko - polskich, co jest zresztą twierdzeniem zupełnie niesłusznym. W czasie niebezpieczeństwa — konkluduje pismo — przyczyny tych nieporozumień zostaną niewątpliwie zlikwidowane i stosunki wzajemne znormalizują się ostatecznie.

PRZEGLĄD PRASY

Młoda Wieś a obronność kraju

W związku z odbytym w dniu 19 grudnia w Warszawie Zjazdem Centralnego Związku Młodej Wsi POLSKA ZBROJNA (nr. 350) zwróciła uwagę na niezwykle silnie zaakcentowany stosunek tej najsilniejszej organizacji młodzieży chłopskiej w Polsce do zagadnień obronnych państwa.

„Jest to — pisze „Polska Zbrojna" — zjawisko tym donioślejsze, że świadczy o wysokim uświadomieniu obywatelskim najliczniejszej warstwy ludności Rzeczypospolitej. Niesposób jest dziś mówić o sprawach obrony narodowej bez stałego opierania się na podstawowym elemencie jej sił, jakim jest wieś. Ona daje armii olbrzymią większość żołnierza, ona żywi cały kraj, ona wreszcie najbardziej związana jest z terenem walki, a stopień jej kultury wywiera silny wpływ na przebieg działań wojennych. Toteż zarówno poziom kultury i rozwoju gospodarczego wsi, jak i wyrobienie ideowe jej mieszkańców w równej mierze mają zasadnicze znaczenie dla siły zbrojnej państwa".

Podkreśliwszy z kolei dominujące w życiu dzisiejszego młodego pokolenia chłopskiego tendencje do podniesienia gospodarczego wsi przez wysunięcie hasła przebudowy ustroju rolnego i podniesienia poziomu wytwórczości rolnej i hodowlanej, „Polska Zbrojna" dodaje jeszcze:

„Wieś jest również wielkim, a niewykorzystanym dotychczas źródłem kultury. Warstwa chłopska, jako najliczniejsza i najzdrowsza, bo nieskażona prawie prądami destrukcyjnymi może wytworzyć po-

tężną siłę twórczą, karną i zwartą, która winna być w pełni zużytkowana do budowania sił obronnych państwa. Warunkiem tego jest podniesienie kultury życia codziennego szerokich rzesz wiejskich i współdziałanie chłopa w tworzeniu ogólnej kultury społecznej. Wynikająca z tego świadomość obywatelska i poczucie współodpowiedzialności za losy państwa wytwarzają w ludności wiejskiej te wartości moralne, jakie cechować winny dobrego żołnierza i obywatela".

Centralny Związek Młodej Wsi, zdając sobie sprawę z tych ciążących dzisiaj na wsi obowiązków narodowo-państwowych, wysunął słusznie motyw obrony Polski na czoło swych aktualnych prac wychowawczych, zawodowych i organizacyjnych.

Polityka a gospodarstwo

Lwowski WIEK NOWY (nr. 10.974), analizując w obszernym artykule zainteresowania społeczeństwa polskiego, wskazuje na zaznaczające się w naszym życiu pewne próby przesuwania tych zainteresowań z płaszczyzny politycznej na gospodarczą ze względu na to, że zainteresowania polityczne są w chwili obecnej bezwzględnie intensywniejsze od gospodarczych. Jak stwierdza pismo, taki stan rzeczy, w którym zainteresowania polityczne uzyskują w społeczeństwie przewagę nad zainteresowaniami gospodarczymi, jest sprzeczny z miarodajnymi dziś tendencjami.

„Idą one wyraźnie w kierunku przesunięcia ciężaru ku zagadnieniom gospodarczym, zagadnieniom — jak się je nazywa — realnym. Zachęca się do nich i pociąga, nawołuje i przekonuje. W przeciwieństwie do haseł opozycyjnych, wysuwających na czoło postulaty polityczne, program wsi zamyka się w jej podźwignięciu gospodarczym, program miast w dobrobycie. Konkretne zadania, wysuwane w terenie, dotyczą prawie bez wyjątku spraw takich, jak handel, spółdzielczość, rzemiosło, a potem potrzeby ogólnej, nie politycznej kultury. Polityka jest na indeksie, politykę obywatel powinien zostawić rządzącej elicie, jak dziś chętnie pozostawia jej troski i plany gospodarcze.

Tendencja ta jest niewątpliwie słuszna i to z kilku względów. Przede wszystkim nasze zaniedbania i potrzeby gospodarcze są tak olbrzymie, że ku nim należałoby skoncentrować całą i niepodzielną energię społeczeństwa. Powtóre przeciętna kultura ekonomiczna wegetuje na tak niskim poziomie, że jej wzbogacenie wydaje się koniecznością. Trudno tu winić prasę, że nie prowadzi na wielką skalę akcji uświadamiającej: prasa jest odbiciem potrzeb społeczeństwa i unika tematów, które ono odrzuca. Wreszcie nie da się zaprzeczyć, że przeciętne u nas zainteresowania polityczne bywają dość niskiego rzędu, a ich wyeliminowanie nie byłoby zbytnią stratą. Jest to t. zw. politykowanie".

Zachodzi jednak pytanie, czy jest możliwe wyparcie zainteresowań politycznych na korzyść owych realnych i rzeczowych, czy jest możliwe takie przerobienie społeczeństwa, aby odwróciło ono swe upodobania w kierunku najbardziej pożądanym i zarazem najmniej niebezpiecznym dla rządzących?

Pismo daje na to pytanie odpowiedź negatywną:

„Pewne przykłady zdawałyby się świadczyć za taką możliwością. Sami Polacy, tłumieni i poskramiani w swych aspiracjach politycznych w okresie zaborów, umieli jak np. w Wielkopolsce przerzucić się na teren prac gospodarczych. Jednak stan taki wynika z konieczności, a nie przekonania. Jest nim niezupełność i tęsknota do zmiany.

W wyższej mierze dotyczy to społeczeństwa polskiego, które przez kilkanaście lat, a w Małopolsce przez kilkadziesiąt, uczestniczyło w bujnym życiu politycznym, a dziś pozbawione udziału, nie da się pozbawić zainteresowań. Można i te zainteresowania stopniowo wyczerpać przez ich nierespektowanie. Wówczas degenerują się, aby wygasnąć i przejść w bierność. Ale na tak uwolnionym polu nie zakwitną problemy gospodarcze.

Dlatego rzeczą słuszniejszą wydaje się, zamiast walczyć z polityką, starać się podnieść jej poziom, zamiast dążyć do nieosiągalnej sublimacji pragnień i instynktów politycznych w instynkty gospodarcze — rozwijać te i tamte. Bo jedno nie wyklucza drugiego, bo jedno jest uzupełnieniem drugiego".

Kolonie

Problem zaspokojenia potrzeb surowcowych szeregu państw europejskich, nie posiadających kolonij zamorskich, przez przyznanie tym państwom terenów kolonialnych, stał się ostatnio zagranicą przedmiotem niezwykle ożywionej wymiany zdań. W tych kontrwersjach zwrócono uwagę na możliwość zwołania jakiejś dziś jeszcze bliżej nie określonej konferencji międzynarodowej, która by miała za zadanie zastanowić się dokładniej i szczegółowiej nad praktycznym rozwiązaniem tego problemu.

Nawiązując do powyższych spraw, nie obojętnych także i Polsce, DZIENNIK POLSKI (nr. 337) przypomina wystąpienie dra A. Rosego na komisji ekonomicznej Zgromadzenia Ligi Narodów w r. 1936, który tezę polską ujął w dwa zasadnicze punkty: 1) Polska musi uzyskać dostęp do surowców, 2) Polska musi mieć zapewnione możliwości emigracji kolonizacyjnej, i stwierdza w związku z tym, co następuje:

„Nie jest naszym celem rozwijanie w tej chwili całej tezy polskiej i dowodzenie jej słuszności. Pragniemy jedynie w chwili, kiedy zaczyna się dyskusja na tematy kolonialne, przypomnieć, że Polska należy do krajów, które muszą jeszcze wywalczyć sobie w pełni miejsce pod słońcem, że jest państwem, przed którym stoi olbrzymie zadanie poprawienia zaniedbanej i skrzywionej przez niewolę struktury gospodarczej przez uprzemysłowienie kraju, czego warunkiem jest dostęp do surowców i możliwość ekspansji zamorskiej.

W świecie pokutuje bowiem ciągle jeszcze przekonanie — najzupełniej błędne — że Polska w rezultacie wielkiej wojny stała się państwem całkowicie nasyconym, że nic jej nie brakuje, co jest dla normalnego rozwoju potrzebne.

W rzeczywistości — jest inaczej. Polska chce ten stan zmienić, rozwiązać zagadnienie w drodze współpracy międzynarodowej. Występując ze swymi postulatami przed forum Ligi Narodów nie zrzekła się jednak bynajmniej zgłoszenia ich przed każdą inną instancją czy konferencją międzynarodową, która by — ewentualnie — miała gestię w sprawach kolonialnych Lidze Narodów odebrać".

Przypomnienie sprawy powyższej jest całkowicie na czasie. Opinia publiczna w kraju winna dla problemu kolonij i surowców wykazywać zainteresowanie naprawdę niecodzienne.

Normalizacja polsko-niemieckich stosunków gospodarczych

Wykazywanie przez opinię polską stosunkowo małego zainteresowania dla polsko - niemieckich obrad gospodarczych, przeprowadzonych ostatnio we Lwowie, określa KURJER PORANNY (nr. 351) jako wyraz sprawnego funkcjonowania oraz normalizacji polsko-niemieckich stosunków gospodarczych.

Całość tych stosunków przedstawia się — zdaniem „K. P." — w chwili obecnej następująco:

„Udział obrotów handlowych z Niemcami w ogólnym handlu zagranicznym Polski (około 14%) nie tylko nie wzrósł, lecz stosunkowo nawet nieco się obniżył w związku ze wzrostem obrotów handlu zagranicznego. Pomimo to Niemcy zajmują po stronie wwozu pierwsze miejsce w handlu zagranicznym Polski, przy wywozie drugie miejsce po Anglii. Przed wojną celną udział Niemiec sięgał 40 proc. i więcej. Przypuszczalnie udział ten nie wzrośnie wiele powyżej normalnego stanu, do jakiego się obecnie zbliża. Poważny spadek wzajemnych obrotów nie jest tylko wynikiem wojny celnej poprzedzającej obecny układ, jak raczej następstwem naturalnego rozwoju stosunków.

Eksport polski do Niemiec obejmuje w przeważnej części produkty rolnicze, drzewo i w mniejszej ilości wytwory hutnicze. Import ten jest dla Niemiec pożądany ze względu na niedobór żywnościowy i surowcowy. Rynek niemiecki jako najbardziej chłonny po Anglii jest dla nas atrakcyjny ze względu na ceny i na warunki dostawy (uwzględnienie sezonowości wywozu). Zwyżka jednak cen w Polsce oraz nacisk, wywierany przez niemiecką politykę gospodarczą na ceny towarów importowanych celem utrzymania ich na poziomie cen światowych (ceny w Niemczech są znacznie wyższe), sprawiają, że względy te tracą częściowo na wadze. Poza tym uwzględnić należy dążenie do zróżniczkowania i wielostronności naszego wywozu rolniczego i do zdobycia możliwie jak najwięcej rynków zbytu. Na tej drodze zaznaczyć można znaczny postęp: jeżeli w r. 1929 dostarczaliśmy np. wytwory mięsne tylko na 3 rynki, to w r. 1936 na 20.

Co się zaś tyczy przywozu z Niemiec, to część tego przywozu, jak: towary produkcyjne, maszyny itd. — jest dla nas bezwątpienia pożądana. O ile jednak niemieckie fabrykaty stanowią konkurencję dla naszego przemysłu, to nadmierny import ich stoi w sprzeczności z dążeniem do stworzenia własnego przemysłu. Zróżniczkowanie towarów importowanych z Niemiec doznaje i doznać musi przegrupowania w tym sensie".

»Realni ekonomiści« a C. O. P.

Zagadnienie Centralnego Okręgu Przemysłowego posiada aspekt nietylko gospodarczy lecz i polityczny, podyktowany wyższymi koniecznościami państwowymi. Fakt ten znajduje pełne zrozumienie w szerokich kołach społeczeństwa polskiego, jako sam przez się zrozumiały. Nieco odmiennie patrzą na zagadnienie C.O.P. nasi „realni ekonomiści". Jeden z organów prasowych tych „realnych ekonomistów" — POLITYKA GOSPODARCZA (nr. 52) — ma w odniesieniu do C.O.P. do powiedzenia co następuje:

„Mówiąc i pisząc o Okręgu Centralnym, trzeba mieć nieustannie świadomość najistotniejszej prawdy, jaka z nim się wiąże. A mianowicie, że zagadnienia geograficzne są w polityce gospodarczej mimo wszystko rzeczą drugorzędną, że nie ma nic łatwiejszego, jak zapewnienie rozwoju jednego okręgu kosztem pozostałych, ale że to postępowi gospodarczemu najczęściej szkodzi, że przez subsydia i inwestycje publiczne nigdy się na prawdę bogactwa i dobrobytu nie stworzy, że pierwszorzędnymi zagadnieniami gospodarczymi pozostają zawsze problemy budżetowe i kredytowe i że stworzenie rynku kredytowego, zrównoważenie budżetu, odciążenie podatkowe znacznie bardziej, szybciej, skuteczniej przyczynią się do uprzemysłowienia Polski od najbardziej frapujących inwestycyj w okręgu centralnym. Mamy wszyscy skłonność do jednej wady: że pewne efektowne szczegóły przesłaniają nam istotę rzeczy. Obyż miraże okręgu centralnego nie przesłoniły nam kardynalnego zagadnienia i kapitalnego zadania: że trzeba prowadzić dobrą politykę gospodarczą. Żeby zaś ją prowadzić, trzeba się znać nie tyle na geografii, ile raczej na skarbowości i na ekonomii".

Nie odmawiając „P.G." dozy racji należy jednak zaznaczyć, że alarmy pisma są bezprzedmiotowe. Niezależnie bowiem od wysiłku inwestycyjnego na C. O. P. nasza polityka gospodarcza odnosi sukcesy również i na polu problemów „budżetowych i kredytowych", o które „P. G." tak chodzi. Istota rzeczy polega zdaje się na tym, że trzeba, aby zbytnie zamiłowanie do krytyki nie „przesłaniało nam" — rzeczywistości.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Teodor Parnicki: „Aecjusz ostatni Rzymianin". Nakładem Tow. Wydaw. „Rój". Warszawa, 1937.

Niezmiernie mało wiemy o Rzymie upadającym, w porównaniu do wiadomości naszych z czasów jego rozwoju i świetności. Nauka historii nie jest łaskawa dla pokonanych, usuwa ich na plan dalszy, zajmując się przede wszystkim tymi, którzy ich miejsca zajęli. Rzym końca IV, pierwszej połowy V stulecia znamy i pamiętamy przez imio-

na barbarzyńskich królów, którzy go łupili i przez dzieje wędrówek germańskich i mongolskich ludów. Parnicki ten porządek odwraca. Mimo rozprzężenia wewnętrznego, poniesionych klęsk i coraz wyraźniejszych oznak rozkładu, mimo hegemonii Konstantynopola, stary Rzym jest nadal centrum świata — w nim toczy się walka antycznej przeszłości z nowym porządkiem chrystianizmu, walka w której biorą udział siły równie potężne, jak te, które w naszych oczach się ścierają.

„Całych piętnastu wieków będzie potrzebować Historia na to, by móc ponownie dotrzeć do epoki równie wielkiej". W stwierdzeniu tym krył się zalążek niebezpieczeństwa. Jakże łatwo było pójść po efektownej, ale płytkiej drodze szukania zbieżności, dobierania i takiego szeregowania faktów, aby tezę podobieństw udowodnić. Autor „Aecjusza" uniknął tego szczęśliwie, odrzucając możliwość powtarzania się w dziejach ludzkich tych samych sytuacji. Epoki, — nasza i tamta, — są podobne dla niego przede wszystkim przez wielkość rozwiązywanych zagadnień oraz przez atmosferę chaosu, wywołaną zupełnym przewartościowaniem wszelkich pojęć. W takich czasach zamętu ogromne pole do działania znajdują jednostki bezwzględne silne i utalentowane. Ich wpływ na kształtowanie rzeczywistości jest wtedy znacznie większy niż w okresach normalnego rozwoju ludzkości, gdy ciężar jednostajnie posuwającej się masy je przygniata i pociąga za sobą. Wielkością indywidualnych możliwości ludzkich można mierzyć przełomowość okresów. I w tym znów analogia dwu epok!

Jak widać z tych kilku uwag, książka Parnickiego ma być nietylko biografią, ubraną w beletrystyczną formę, lecz powieścią historyczną o wielkim rozmachu i dalekich perspektywach. Życie bohatera stanowi dla niej co prawda kościec konstrukcji, lecz służy przede wszystkim dla wypowiedzenia się epoki. Aecjusza, syna setnika poznajemy jako pięciolatka. Pierwszy rozdział książki — przyjazd do Rzymu, pobyt młodego zakładnika u króla Gotów, pierwsze małżeństwo i pierwszy sukces wojenny, zdobycie przyjaźni króla Hunnów Rugili, śmierć ojca — ukazuje, jak kształtuje się jego nawpół barbarzyńska, nawpół rzymska dusza, której najgłębszym objawieniem są słowa wyszeptane do małego syna: „Całe życie to łowy, nieustanne, bezlitosne łowy... Nie będziesz sam łowcą — to zaraz zapolują na ciebie inni, zaszczują, zagryzą. Bądźże więc zawsze gotów na łów... zawsze silny... zawsze czujny, drapieżny, bezlitosny... Nie daj nigdy sobie wydrzeć zwycięstwa, bo to śmierć... A zwycięstwo to radość, upojenie, szczęście... Zawsze zwyciężaj."

Dalsze losy Aecjusza, jego zawrotna kariera nie zadziwia. Tak być musiało. To, że wiara nasza w niego jest tak silna, jest zasługą Parnickiego. Talent autora objawił się jednak nie tylko w jednolitym i przekonywującym ujęciu postaci Aecjusza w całej powieści, lecz przede wszystkim w malowaniu epizodów. Lubuje się on jak gdyby w piętrzeniu trudności, w przeciwstawianiu swemu bohaterowi przeciwników wybitnych. I właśnie w takich scenach, jak rozmowa Aecjusza z Augustą, jak starcie z Petroniuszem, na tle ich nieprzeciętnych indywidualności objawia się jeszcze wspanialej wielkość Ostatniego Rzymianina. Siła tych scen wynika ze swoistej techniki pisarskiej — przypominają one raczej fragmenty jakiegoś dzieła ramatycznego — tak wielką w nich rolę gra wyrazistość dialogu, plastyka ruchów i tak scenicznie kulminują się efekty.

Jeśli jednak ten rodzaj techniki przysłużył się Aecjuszowi, jako bohaterowi powieści, to nie zawsze dał on te same rezultaty w innych partiach książki. I tu znów spotykamy tak kapitalne momenty, jak nagłe przeistoczenie się diakona Leona w Biskupa Rzymu, ale bogactwo typów, różnolitość konfliktów nie wystarczą, gdy idzie o oddanie ogromu walk w których ginął jeden a powstawał drugi świat. Parnicki zdaje sobie z tego sprawę, odwołuje się do innych środków, tym nie mniej z powieści jego dowiadujemy się jedynie o charakterze tych przemian, ale nie czujemy wielkości prądów tak choćby, jak odczuliśmy tryumfy Aecjusza lub klęski Placydii. To, co jest wystarcza, by zrobić analizę, nie wystarcza, aby poznać ich ogrom.

Naogół przywykliśmy odnosić się do ludzi tamtych czasów z wyższością. Sądzimy, że są jacyś inni niż my, ubożsi duchowo, prostsi, mniej skomplikowani. Tymczasem Parnicki daje im te same instynkty, te same odruchy i przemyślenia. Jego bohaterowie są nam bliscy przez swą nowoczesność. Nie pozbawia ich ani jednego rysu człowieczeństwa, nie stawia na żaden nieziemski piedestał. Jakże ludzki jest Aecjusz, gdy Pan Karyzjaku tłumaczy mu sens jego życia, ile prostoty jest w jego ostatnim triumfie — triumfie mężczyzny nad młodym rywalem. Miłość, której opisów nie skąpi autor, stanowi niezbędny ton tej powieści. Placydia, Petroniusz, Feliks, a nawet sam Aecjusz, gdyby tylko nienawidzili lub walczyli, byliby sztuczni. Miłość daje psychologiczną prawdę ich postaciom, daje im pełnię życia. W tym właśnie, obok pięknego i sugestywnego języka, leży wartość tego na prawdę dojrzałego debiutu.

Adam Andrzejewski

Suchodolski Bogdan: Polityka kulturalno - oświatowa w Polsce współczesnej. Nasza Księg. W-wa 1937.

Niezmiernie ciekawe zagadnienie rozbite jest u Suchodolskiego na szereg problemów, z wyraźnie jednak zarysowaną nicią przewodnią. Tą nicią przewodnią jest tendencja wzmocnienia Polski drogą wzmocnienia siły i atrakcyjności naszej kultury.

Może niedość uargumentowany jest wniosek, że należy do tego dążyć przez wytwarzanie jednolitości kulturalnej. Jeżeli bowiem mówimy o wspólnocie kulturalnej, to ona w tej chwili w Polsce istnieje dzięki takim wspólnym wiązaniom kulturalnym jak np. język, spełniający w stosunku do wszystkich wyrażanych treści rolę selektywnego filtru. Tam gdzie autor mówi o konieczności jednolitego stylu, tam nasuwają się możliwości o ile ten styl jest możliwy, skoro jednolitości stylowe epok ukazują się nam jako takie przez błąd perspektywy historycznej. Z drugiej zaś strony znoszenie sprzecznych prądów, jako warunek osiągania jednolitości, osłabić może poziom i siły rozwojowe kultury.

Przy problemacie kultury mas zobrazowana jest nędza i potworne wprost zaniedbania, jakie szczególnie cechują naszą wieś. Arystokratyzm kulturalny i pielęgnowanie kultury wyższych warstw społecznych sprawia, że poza nielicznymi ośrodkami o europejskim poziomie kulturalnym, masa ludności nie znajduje zadowolenia najprymitywniejszych potrzeb i wymagań kultury.

Oświata szkolna jest w tej chwili zupełnie nieprzystosowana do wymagań społecznych. Z jednej strony szkolnictwo obsługuje bardzo niesprawiedliwie warstwy społeczne, pomijając ten olbrzymi zbiornik ludności i niewątpliwie zdolności, jakim jest masa chłopska — z drugiej strony aparat szkolny jest wogóle słabo rozbudowany. Zadawalał on w okresie pracy ministra Czerwińskiego, po jego śmierci nastąpiło obniżenie się proporcjonalnej sprawności, aż doszło do stanu obecnego, który autor, jak zresztą wszyscy, słusznie uważa za stan katastrofalny.

Środki zaradcze upatruje autor przede wszystkim w zwiększeniu budżetu szkolnictwa, następnie w równomierniejszym rozkładaniu zasobów w szkołach — a więc zrzeczeniu się pewnych zasobów szkolnych przez szkoły zaopatrzone lepiej (a może raczej normalniej) na rzecz szkół biedniejszych.

Niezmiernie ciekawy jest zarysowany tylko szkicowo projekt kształcenia młodzieży w organizacjach młodzieżowych, co szczególnie wiąże się z zagadnieniem dokształcania. Problem zarysowany tutaj mógłby być zapewne częściowym rozwiązaniem tragicznych powikłań oświatowych naszego ustroju, a nawet częściowym rozwiązaniem niedomagania istoty naszych szkół, które zbyt mało kształcą do życia. Wymagałby on szerszego i głębszego omówienia, gdyż nie wyczerpuje go skąpy rzut autora.

W całości książka Suchodolskiego, mimo paru słabiej uargumentowanych postaci, spełnia bardzo pożyteczną rolę, stawiając nietylko zagadnienia ale i sposoby rozwiązań.

DO CZYTELNIKÓW!

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na rok 1938. Równocześnie kumunikujemy, że numer niniejszy jest ostatnim, wysłanym pod adresem prenumeratorów, którzy nie uregulowali całkowicie opłaty za ostatnie miesiące roku 1937.

Do Nru następnego (1-2 za rok 1938) dołączony będzie spis treści rocznika 1937.

Przy sposobności wszystkim naszym czytelnikom i przyjaciołom przesyłamy serdeczne życzenia z racji Nowego—1938—Roku.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA »NARODU I PAŃSTWA«

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Korewo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Wareckа 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem